№ 34. Warszawa, dnia 14 (26) Kwietnia 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 75.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznanskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

TYMON ZABOROWSKI

i

PISMA JEGO POŚMIERTNE.

Po ś. p. Julianie Sabińskim pozostał zeszyt zawierający niektóre pisma Tymona Zaborowskiego, po jego śmierci z własnoręcznych rękopismów zebrane, a ogółowi całkiem nieznane. Do zbioru tego dołączony jest nekrolog poety, z którym łączyła Sabińskiego najpoufalsza przyjaźń. Prof. Henryk Dynowski udzielił nam łaskawie rzeczonego zeszytu, pozwalając podzielić się z czytelnikami „Wieńca” wyciągiem z biografii i wyjątkami z pieśni zdolnego, a dzisiaj prawie zapomnianego „Wieszcza Miodoboru”.

Na zrębie dwóch epok literatury naszéj, zwanych, w braku odpowiedniego nazwiska, klassyczną i romantyczną, jedno z najwybitniejszych miejsc w gronie poetów polskich zajmuje Tymon Zaborowski.

Urodził się dnia 18 Kwietnia 1799 r. w Galicyi, w cyrkule Czortkowskim z Józefa Zaborowskiego i Julianny Szeptyckiéj, we wsi Liczkowcach, dziedzinie przodków swoich, u podnoża Miodoborów, zkąd późniéj „Wieszczem Miodoboru” był zwany.

Młodzieńcze lata przepędził w rodzicielskim domu, gdzie staranne wychowanie rozwijało w nim szczęśliwe z przyrodzenia zdolności. Następnie w szkole krzemienieckiéj na Wołyniu, wespół z Karolem i Janem Sienkiewiczami, Gustawem Olizarem, Korzeniowskim Józefem, Kowalskim Franciszkiem, Januszowskim i tylu innymi, których imionami szczyci się rzeczona szkoła, przechodził wszystkie wykładane tam nauki, zadziwiając zarówno mistrzów jak i współuczniów bystrością swoich postępów.

Tadeusz Czacki zaszczycał Zaborowskiego szczególném przywiązaniem, licząc go do tych, których „nadziejami” swemi nazywał.

Już wtedy poetyczny talent młodego Tymona objawiał się w licznych utworach, żywością wyobraźni i wyższym odznaczonych dowcipem. Między innemi poemat w kilku pieśniach pod tytułem „Klub piśmienniczy” zapowiadał w nim niepospolitego poetę i szacownego w języku ojczystym pisarza.

Skończywszy nauki w Krzemieńcu, udał się do Warszawy, i tam przez dwa lata w biurze Rady Stanu sposobił się na pożytecznego krajowi urzędnika i obywatela.

Przez ciąg pobytu w stolicy należał do wydawnictwa „Ćwiczeń naukowych” i „Pamiętnika naukowego”, w obu tych czasopismach umieszczając niektóre ze swoich poetycznych płodów. W tymże czasie przełożył wierszem Woltera tragedyę *Tankred*, która na teatrze narodowym nieraz przedstawianą była.

W Warszawie pracował nad utworzeniem wielkiego bohaterskiego poematu, pod nazwą: „Bolesław Chrobry”, do którego myśl jeszcze w Krzemieńcu był powziął. Poemat ten, obejmujący 20 pieśni, był już doprowadzony do końca, gdy Tymon wrócił w domowe zacisze.

Odtąd swobodniejszy niż był w Warszawie, poświęcał swój czas nauce, przyjaciołom, powabom natury, zachwycającym w jego rodzinnéj okolicy, i poprawie rzeczonego poematu. Z czasem jednak przejrzawszy to dzieło z głębszą rozwagą i poddawszy je pod wyrok surowego a bezstronnego, choć własnego sądu, powolny też udzielanym sobie radom i postrzeżeniom przyjaciół, zamyślał przerobić swój poemat zupełnie, z pierwiastkowego utworu treść tylko celniejszych zachowując ustępów.

Starannie więc, wedle téj myśli, wypracował pieśń pierwszą i drugą, przygotował materyały do innych i poczynił odmiany w ułamkach z pieśni dawniejszych, — resztę zaś oddał na pastwę płomieniom. Tymczasem śmierć nagła (20 Marca 1828 r.) przerwała dokonanie dzieła.

Lecz nietylko w tym jednym rodzaju poezyi sił swoich doświadczał:—i w innych zasłużone odbierał poklaski. Mamy jego trzy oryginalne tragedye: „Bohdan Chmielnicki”, „Umwid” i „Borys czyli Tajemnica”. Te, acz za doskonałe tego rodzaju utwory poczytane być nie mogą, i choć nam się dostają w pierwszym swoim zarysie, bez wykształcenia i poprawy, nie zbywa im wszakże na zalecie wielkich i uderzających piękności, tak co do pomysłu, jako też co do siły wyrażeń i głębokiéj uczuciowości.

Zostawił jeszcze wiele drobniejszych poezyj nieposledniéj wartości i mnóstwo poufnych listów, pisanych do swojego przyjaciela F. Ł., a mogących przy wydaniu pism Zaborowskiego posłużyć za obfite źródło wiadomości o nim i o szczegółach jego życia.

Ale najszacowniejszym zabytkiem jego talentu są bez wątpienia „Dumy podolskie”. Pieśni te, owoc dojrzalszego natchnienia, same już zapewniłyby Tymonowi Zaborowskiemu znakomite śród naszych poetów miejsce.

Niepospolita piękność i serce wzniosłe odznaczały młodego poetę. Na pogrzebie jego oczy wszystkich obecnych były zalane łzami... Najbardziéj rozrzewniającym był gorzki płacz włościan i sług, niezdolnych zaprawdę pojąć wszystkich zgasłego młodzieńca przymiotów.

Żywa, bogata i niezmiernie płodna wyobraźnia, porywająca wymowa i dzielność w malowaniu uczuć, rzadka trafność w wynajdowaniu

normy odpowiedniéj pomysłom, szczęśliwe trzymanie się środka pomiędzy klassycznym chłodem i nad miarę wrzącą romantycznością, zadziwiająca łatwość w szczeropolskiém wysłowieniu,—te są własności poezyi i stylu Tymona Zaborowskiego.

W zeszycie, który mamy pod ręką, pierwsze karty zajmuje „Bohdan Chmielnicki", tragedya oryginalna w 5-ciu aktach, napisana w Sierpniu 1823 r. Był to pierwszy utwór dramatyczny autora, jak widać z dedykacyi jego Julianowi Sabińskiemu na tytułowéj kartce. Oprócz formy i nazwy, „Bohdan Chmielnicki" niewiele ma w sobie dramatyczności. Jest to szereg wybuchów lirycznych w kształcie dyalogów. Jedyną ich zaletą jest piękny język, chociaż dla naszych czasów wydaje się on za nadto patetycznym. Historyczna prawda jest najzupełniéj zwichnięta przez samą istotę pomysłu, acz szlachetnego. Uczucia, wyrazy i czyny osób działających autor poczerpnął we własnéj wyobraźni. Wypadki wszystkie zmyślone. Tymotéj Chmielnicki z żoną (Heleną, księżniczką wołoską) rzucają się ze skał w nurty Smotrycza, Bohdan przebija się i t. d. Słowem tragedya ta przypomina wypracowania szkolne, i bardzo niewiele obiecywała pod względem dramatycznego talentu pisarza.

To samo moglibyśmy powiedzieć o talencie Zaborowskiego na polu poezyi bohaterskiéj. Znaleźliśmy tu kilka ustępów z „Bolesława Chrobrego": lecz ani jeden najmniejszym rysem nie przypomina epoki, o któréj śpiewa poeta. Widocznie Tasso, Aryost i Ossyan po części służyli mu za wzory. Naiwny sentymentalizm autora wywołuje często uśmiech na usta. Wystawmy sobie np. śpiew Haralda pod murami teremu Jarosławowego. Dowiadujemy się z niego, że:

„Brat Kanuta, Chrobrego krewny, Harald śmiały
Z nad duńskich przybył brzegów pod Kijowa [wały
Dla córki Jarosława, dla pięknéj Milwiny..."

Nie podzielamy więc zdania Sabińskiego, że dokonanie dzieła, o którém mowa, mogłoby się kiedyś przyczynić do sławy narodowéj.

Najwięcéj odznaczył się Zaborowski jako poeta liryczny. Cechą liryzmu jego przeważną jest melancholia, wykwitająca z głębokiéj czułości serca i innych uczuć najszlachetniejszych. Prawdopodobnie przyczyniły się do tego okoliczności życia poety — najpewniéj miłość nieszczęśliwa. Widać to z wielu utworów erotycznych, których przytaczać nie będziemy, poprzestając na ogólnéj uwadze, że wszystkie one odznaczają się niekłamaném rzewném uczuciem. Niektóre nawet dosięgają niepospolitéj energii wyrażenia zwyczajnie obcéj Zaborowskiemu. W wierszu „Do ***" znajdujemy takie np. ustępy:

. . . „Śród ciemnoty
Jakiż mi to z obłoków promień błysnął złoty?
Jakiegoż to bozkiego głosu słyszę brzmienia?
Czy mi się jaki zjawia anioł pocieszyciel?
Czyli duch czysty zbawienia?
. . . .
Usta mu się pociechą i pokojem śmieją,
I sam jego wzrok nawet jaśnieje nadzieją.
O ty! co mi się zjawiasz w tak okropnéj dobie—
Jażż mogę zaufać tobie?
Czyli mię chcesz w zapędach rozpaczy powścią- [gać,
Czy na chwilę pocieszyć,
Potém z niedogojonych cierpień się urągać
I zatrutym pociskiem żartu serce przeszyć?...
Cóżkolwiekbądź—zaczekaj, wstrzymaj się, i ra- [tuj
Z przepaści, gdzie mię rozpacz potrąca obrzydła.
Ale przebóg! te złote twoje opuść szkrzydła,
I kiedyś mi się zjawił, już mi nie ulatuj!"

Drugą cechą liryzmu Zaborowskiego jest prawdziwie słowiańska miłość natury, łagodząca smutki poety. Ztąd zdarzają się u niego opisy, porywające prostotą i wdziękiem. Oto jest np. opis lata:

„Te gaje, gdzie słowiki śpiewać lubią czujne,
Niwy, na których zboża kołyszą się bujne,
Dla wodnych nimf kobierce posłane na łące;
Już ogród uwdzięczają wiciokrzewy wonne,
I róże kwiatu swego kolcami broniące,
I bzy z różnobarwnemi kwiatami bezbronne.
Wiosna znowu już świetna odmieniła stroje,
I już konwaliową wonią się nie poję;
Tam gdzie dawniéj fiołek w trawie krył się [skromny,
Piwonii ponsowéj pęka kwiat ogromny."

Gdzieindziéj w liście do przyjaciela, poeta zapytuje go, co robi gdzieś tam na błogiém nadbrzeżu?

„Czy dumasz jak ja, który siedzę pod jabłonią?..
Słowik mi przyśpiewuje z blizkich drzew gę- [stwiny;
Miłą, jak tchnienie bogiń olimpijskich, wonią
Akacye mię poją, róże i jaśminy.
Nietylko mię zachwyca pysznych kwiatów zby- [tek;
Umiem cenić i skromne, co niosą pożytek:
Patrzę, jak się różnego zboża kształcą kłosy,
Jak bujnych traw na łące padają pokosy;
Jak fala po pszenicy płynie, i jak z żyta
Lekki kwiat ulatuje a wietrzyk go chwyta.
Tak chodząc gdy poranek przepędzę przyjemny
I unikając skwaru kryję się w las ciemny,
Lubię wtedy usiadłszy pod wyniosłą skałą,
Strudzony—schwycić w trawie poziomkę doj- [rzałą;
Szczęśliwy, który zawsze swéj lubéj przytomny,
Może jéj zaraz oddać ten dar wiosny skromny!"

Czyliż wiersze te nie przenoszą nas w czasy Bendońskich i Zimorowiczów?...

Na szczytniejszą nótę rzadko nastrajał swą lutnię poeta. W całym zeszycie znaleźliśmy dwa tylko utwory prawdziwie orlego polotu: „Wiersz do Stanisława Starzyńskiego" i „Zorza oświaty". Szczególniéj pierwszy jest niepospolicie piękny. Dla przykładu dajemy czytelnikom następujący wyjątek:

... „Tak w bystrym wieków potoku
Pieśni młodziana wiosnę życia głoszą,
I powab znikomego piękności uroku,
I błąd, który chwilową zwodzi go rozkoszą.
Wieszcz młody chwali miłość i śpiewa nadzieje,
Które w niebiosa marzeń duszę jego wznoszą,
Gdzie wieczna pogoda dnieje.

Znikają te odcienie wiośnianego rana,
W których się młodość rozbarwia różana,
Skoro na świetném niebios przezroczu
Ten wyraz światła zapłonie,
Co dla śmiertelnych objaśnia oczu
Nieskończoności tonie *),
Wiecznym żywiołów spokojne mirem...
Wtedy duch wieszczy ocknie się w młodzieńczém [łonie,
I wdzięczną światło bozkie błogosławi mową,
I w tęsknych piersiach budzi silnym życia wirem
Niezgasłego zapału iskrę piorunową."

Mistrzowskie określenie poezyi uniesienia i prawdy, zapału i przekonania!...

Żywiołu analizy i rozwagi niewiele ma Zaborowski. Tam nawet gdzie poeta zamyśla się, przedmiotem jego zamyślenia jest własne uczucie. Tak np. powiada o miłości:

... „Jak bieg téj wody rozmaity bywa,
Tak miłość raz spokojna, drugi raz burzliwa:
Jedna lubi odludne lasy i pustynie,
W których cicho i z wolna i głęboko płynie;
Druga, jak kryształ czysta, wesoła i szczera,
Kwieciste sobie miejsca za łoże obiera;
Inna wiry ukrywa ponura i mętna.
Tak miłość różną będąc, różne nosi piętna.
Ale ten rys ostatni jest w obrazie plamą:
Miłość każda jest szczerą i w duszy tąż samą.
Szczęsna czyli nieszczęsna, powolna czy żywa,
Do otwartych serc tylko bozkiém tchnieniem [wpływa."

Prześliczną myśl poeta zawarł w następujących wierszach:

„Szczęśliwy ten, szczęśliwy, szczęśliwy! na kogo
Przy aniele żywiącym jego życia płomień,
Pierwsze tchnienie pogody z łąk powionie błogo,
I pierwszego dnia wiosny złoty padnie promień!
Biada temu, co twardém sercem nie podziela
Czułych dusz życzeń, tęsknot i wesela!
Jak oto, co go wieki do miejsca przykuły,
Przy żywym zdroju leży głaz nieczuły—
Smutny obraz zdrętwiałéj niemocą zawiści:
Że kiedy ziemia stroi się ockniona,
Nie może z zimnego łona
Wonnych uronić kwiatów i rozwinąć liści,
I słońce go do życia nigdy nie rozgrzeje.
Nie dla niego Bóg stworzył wiosnę i nadzieję!"

Poeta nie lubi wdawać się w igraszki dowcipu. Przygnębiło go widać życie; zkądinąd bowiem nie można mu odmówić zdolności do ulotnéj a niezmiernie wdzięcznéj swawoli myśli. Za dowód posłużyć może drobna powiastka, którą tu w całości pozwalamy sobie przytoczyć.

Abecadło.

„Jednego razu (trzymam to podanie
Z powieści szkolnéj)
Śniadecki w długim ciągu rachuby mozolnéj
Nie wiem jakiego stopnia rozwinął zrównanie.
Całego do pomocy wezwał abecadła;
Całą głosek rodzinę na milczenie skazał,
Odwieczne między niemi porozrywał stadła.
A zapisawszy wielki liść papieru,
Gdy w końcu wszystko przemazał,
Namalował straszliwe: *zero równe zeru* $(0=0)$
Wtedy się wszczęły rozruchy
W pospolitéj głosek rzeczy.
Z razu gwar tylko dał się słyszeć głuchy,
Aż w tych słowach złączone zawołały głoski:
— „Te między nami związki święte któż niweczy?
„Przez nie i dowcip wyrażał się bozki,
„I brzmiały wieszczów czarujące rymy,
„My, które słowo boże i ten jego brzmienia
„W duszy człowieka odgłos tłomaczymy,
„Wpajamy ojców cnoty w młode pokolenia,
„Sławę ich głosząc w najpóźniejsze czasy,
„Mamyż twojemu pióru za igrzysko służyć?
„Śmiałeś nas jako znaków tylko niemych użyć!
„Zapisywać w szeregi, zamykać w nawiasy!
„I w obcego nam składu twarde wprzęgać [kluby!—"
Na to z górnego krzesła mędrzec im odpowie:
— „Możecie mieć znaczenie pewne w ludzkiéj [mowie:
„Ale do mojéj wezwane rachuby,
„Postradanego niepomne zaszczytu,
„Zastosujcie się teraz do nowego bytu,
„Pod piórkiem, które wami będzie kierowało."—
Lecz wszystkie znowu razem odpowiedzą śmiało,

*) Autor użył neologizmu: odsłonie, który choć z ujmą rytmu pozwoliłem sobie zastąpić wyrazem zwyczajniejszym.

— „Masz na to liczb stworzonych szereg dosyć długi;
„One do twojéj gotowe usługi,
„Możesz ich nieme rozwijać szyki;
„Jeden mieścić przy drugim, lub jeden pod drugi,
„Inne znakiem potęgi wznosić jeszcze nad nie,
„Różnego kształtu rysując krzyżyki,
„Niemi szpetnego pisma dziwne łączyć składnie.
„Ale naszym dowolnie nie rozrządzaj losem:
„My do takiego niezdolne użycia;
„My, przez które w człowieku pierwsze hasło życia
„Bóg nieśmiertelnym objawił głosem.—”

W zbiorku, o którym mówimy, jest także kilka przekładów; są to drobniutkie utwory Szyllera, Goethego i innych. Za najudatniejszy uważamy *Mignon* Goethego. Jestto wszakże naśladowanie tylko, nie wytrzymujące porównania z późniejszém naśladowaniem Mickiewicza.

„Czy znasz to miejsce, kędy miodem kwitną bory,
Swe grona mdła latorośl schyla na podpory,
Rosną figi, brzoskwinie przed słońcem się płonią,
Powietrze fiołkową w gajach pachnie wonią,
Wiosną tchnące radują duszę ptasząt śpiewy
I nieba błękitnego łagodne powiewy?
A, czy znasz ty to miejsce?... Tam bez ciebie, tam,
Czemuż piękność natury widzieć muszę sam!
Czy widziałaś te skały?... Wznoszą się nad puszcze
Mchy usłały się po nich, na nich rosną bluszcze?
Z nich widać w dalékości Karpaty ogromne,
Niżéj po niezmierzonych polach wioski skromne,
Rzeki, doliny ciche i mnogie widoki,
Których ogarnąć całe nie mogą obłoki?
A, czy znasz ty to miejsce?... Tam, bez ciebie, tam,
Czemuż ja wielkość Boga wielbić muszę sam!”

Zbiorek pośmiertny pism Zaborowskiego zamyka 28 listów pisanych do przyjaciela. Treść ich po większéj części niezrozumiała; pozwala jednak domyślać się ważniejszego znaczenia swojego pod względem uczuć i stosunków poety. Najwydatniejszą cechą tych listów jest nadzwyczajna zacność, głęboka uczciwość i pewna miękkość charakteru autora. „Związek nasz—powiada w jedném miejscu—powinien mieć za cel gospodarstwo wewnętrzne naszéj istoty, polepszenie moralnego życia naszego...” Przypomina to *promionki* pana Tomasza. Gdzieindziéj czytamy „Na tych, którym dobrze życzę w tajności serca mojego, nie chcę wkładać nawet obowiązku wdzięczności, mówiąc im o tém”. Gdzieindziéj: wygląda słabość charakteru, o któréj nadmieniliśmy wyżéj: „Biada temu, co w smutku i w udręczeniach zachowuje tyle przytomności umysłu, że pisać i mówić może równie jakby był zupełnie spokojny. Ja się taką dzielnością duszy nie mogę szczycić. Ja wsparcia przyjacielskiego potrzebuję w cierpieniu... Ja kiedy czego pragnę i potrzebuję, nietyle ufam sile mojéj i łatwości osiągnienia przedmiotu, ile szlachetności uczucia i prawości zamysłu, który mię do życzeń pobudza. Dla tego dla mnie nadzieja jest boginią, pełną wdzięków nadludzkich i słodyczy anielskiéj. A wielu innych zna tylko w postaci nadziei starą *niecierpliwość*, co prędko grzybieje, coraz brzydszą i nieznośniejszą się staje.“

I w listach również przebija się głęboka melancholia, łagodzona jedynie nieustanną, serdeczną troską o innych. Raz poeta, przeplatając prozę wierszami pisze:

„Rozkoszne Miodobory, piękniejsze niż Eden!
Czyż mogę się tu cieszyć, gdy tu jestem jeden!
Ale nawet i wiosna, chociaż tak wesoła,
Owocowych drzew pyszne wieńczy kwiatem czoła,
I na wszystko swój urok wzrokiem wdzięcznym rzuca,
Cieszy, omamia... jednak i ona zasmuca!...”

Bardzo rzadko uśmiecha się w listach poety humor i żartobliwość. Raz gniew jego wygląda dosyć zabawnie: „Nie wiem—powiada—z jakiego względu uznałeś w twojéj głowie, że odpowiedzi ustne przez posłańca bezpieczniejsze są od listów. Tak w niedzielę Wasyl, téj odpowiedzi twojéj nauczywszy się na pamięć przez drogę, wróciwszy wieczorem, lezie do pokoju moich rodziców, gdzie ja byłem podówczas, i głośno a powoli wypowiada wszystko czegoś go nauczył, a że: „może będziesz w H. we wtorek;”—a że: „tu być nie możesz;” a że: „trzeba, abym ja przyjechał (nie mówiąc gdzie).” — Nie lepiéjże było znaleźć w domu pocztowym cząstkę papieru i kawałek pióra, i napisać to, coś kazał posłańcowi mówić? — Nie należy nigdy używać cudzych ust do tłómaczenia swoich myśli i powtarzania swoich wyrazów. Takowe polecenie jednemu tylko przyjacielowi dać można, albo osobie, co nas potrafiłaby zastąpić”... Widocznie chodziło tu o serdeczne interesa poety, którym podobno nie sprzyjali rodzice.

W inném miejscu poeta opisując różnorodne towarzystwo, zgromadzone w pewnym domu sąsiedzkim, pisze:

„Była to *różno-języcznia**)
W dniu pierwszym ruskiego stycznia:
I młodzieńce, i *sensaty*,
Ludzie różnych stopni, rang,
I *Rosenberg* i *Bujatti*
I *Bachmetjew* i pan *Lang*,
Różne twarze, różne szaty,
Gwary, skoki i wiwaty”.

Na ostatnich kartkach zeszytu, którego krótkie streszczenie podaliśmy czytelnikom, czytamy wiersz „Na śmierć Tymona Zaborowskiego” przez Jaśka z Beskidu (Jana Podoleckiego) i „Elegię ojcu zmarłego wieszcza z Miodoboru”, napisaną przez S. S. — utwory dość mierne.

Zdaje się, że wszystko co powiedzieliśmy wyżéj, oraz przytoczone wyjątki z pośmiertnych pism Zaborowskiego, dostateczne dadzą czytelnikowi wyobrażenie o zbiorku, który zachęcił nas do przypomnienia ogółowi jednego z najzdolniejszych i najsympatyczniejszych poetów zarania romantycznéj literatury naszéj.

L. Sowiński.

*) Przypominamy czytelnikom, że autor mieszkał w Galicyi austryackiéj.

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 33).

Od tego kielicha poczęły się inne, boć zaraz pana wojskiego pito, potém podkomorzego, który pierwszy toast wnosił, potém koleją do nieskończoności biesiadujących pań i panów... A wszystkim tym „przezdrowiom” towarzyszyły przemówienia, okrzyki, śmiechy i wrzawa taka, że o rozmowie myśleć nikt nie mógł. Co kto miał pilniejszego, kładł sąsiadowi wprost do ucha. Czas ten jednak nie został stracony, Zygmunt kilka razy spojrzał na Elżusię, która wcale wzroku jego nie unikała—trafiło się nawet, iż ona z pewną ciekawością popatrzała nań parę razy. Toasty jeszcze w ściśniętém kółku trwały, gdy panie i młodzież zaczęły się ruszać od stołu... Została Elżusia ale nie odchodząc mrugnęła na Mioduszewskiego, przechyliła się do niego przez stół i zawołała:

— A moje konie?

— Dalipan, pani dobrodziejko—królowo! nie wymagaj rzeczy niepodobnych! Chybaby cię kto z nas powiózł, a i o tém wątpię, żeby się powiodło, bom sam na moje oczy widział, jak po jedném kole od każdéj kolebki pobrano i na lamus niesiono.

Elżusia uderzyła w ręce...

— Zlituj się, królowo moja—przecięż nie będzie ani grzechu, ani zbytniéj nudy, gdy posiedzisz i popatrzysz na tańczących, a że polskiego musisz pójść z wojskim, to nic nie pomoże...

Pani Zygmuntowa ruszyła ramionami z niecierpliwością wielką—i odeszła—nie było rady...

Wkrótce też zaczęto co najprędzéj stoły uprzątać, miejsce robić, podłogi umiatać, aby tańcującym pole przygotować, bo już skrzypki na podniesieniu zieloną choiną ostawioném strojono. Służba nawykła była do pośpiechu, duchem więc gotowo stanęło... wszystko. Szczególniéj do tego pierwszego poważnego polskiego tańca, pokoje, ile ich było, w koło musiano na drodze oswobodzić od sprzętów, bo zwyczajem było cały niemal dom obejść kręcąc się i zawracając, tak, że nieraz w przeciwnych kierunkach para ostatnia z pierwszą się rozmijać musiała...

Na dany znak muzyka poczęła od ucha... państwo młodzi w pierwszéj parze... ruszono... Zygmunt dostał jakąś panią mało znajomą, i ani wiedział gdzie i jak stanął. Z panną młodą niemal każdy tańcował z gości dostojniejszych, poszło więc odbijanego, z wielką po toastach i winie wesołością i okrzykami. Ani się opatrzył Piętka, jak mu ktoś jego parę odjął, a on do następnéj przeszedł... Był to dzień zaprawdę szczęśliwy dla niego, a może też przyjaciele poczciwi trochę temu szczęściu dopomogli... Ledwie rozmowę począł Zygmunt z ową panią, już znowu go odbito, posunął się do następnéj, a była to pani Bartochowska, w dobrym humorze i nad podziw wesoła.

— Patrzaj pan, o dwie pary za nami, jejmość idzie, byle jeszcze odbito, będziesz musiał ją wziąć. Spodziewam się, że ci się nie żachnie, a jak ręki jéj dostaniesz, poradzimy na to, ażebyście z sobą chodzili jak-najdłużéj. Masz pan dobrych przyjaciół.

Ledwie wyrazów tych dokończyć mogła, gdy Zygmunt już poszedł od niéj odsadzony... i postrzegł, iż za nim w parze była z Mioduszewskim jego żona. Serce mu zakołatało mocno. Co też to będzie? co to będzie?

Niemało oczu patrzało także z ciekawością na to widowisko, bo było nie lada i różni różnie wróżyli, po marsowém wejrzeniu Elżuni, która też przewidzieć mogła co ją czekało. Jednakże nie zdawała się bynajmniéj tém zmięszaną. Szła w majestacie piękności swéj, nieporuszona, poważna, pełna uroku, tak, że co koło niéj i za nią było młodych a cale nieszpetnych kobiet, gasiła...

Gdy poprzedzający Zygmunta mężczyzna przyszedł mu jego parę wziąć, a on ustąpił by następującego odprawić od pani Zygmuntowéj, trochę mu się w oczach zaćmiło. Śmiały żołnierz stracił odwagę... a nuż jejmość wyjdzie z rzędu i ręki odmówi? Płomieniem oblała się twarz, wyciągnął drżącą dłoń... ręka Elżusi spoczęła na niéj równie drżąca... Czuł w niéj bicie

jéj serca... Śmielszy nieco, podniósł ku niéj wejrzenie pokorne...

— A! pani—rzekł nieśmiało—jakże już dawno, jak dawno nie spoczęła ta rączka na mojéj! Nie wierzę mojemu szczęściu... boję się go za rychło utracić... a drugi raz w życiu taki taniec mi się nie nadarzy...

niego działo i gdzie był;—lecz Pan Bóg mnie srodze pokarał za to. Cierpię też—a nie mówię, bym niezasłużenie bolał...

— A nie sam pan cierpisz, spuszczając głowę odpowiedziała Elżusia—myślisz, że moja dola szczęśliwsza? złamane życie...

— I nigdy mi nie przebaczysz? spytał ośmielawiedzią—a ta odpowiedź nie przyszła—milczała... nie zaprzeczyła—nie przyrzekła... szła daléj... milcząca ciągle.

— Więc gdy mnie traf szczęśliwy zbliżył do was, odezwał się po długiém próżnego oczekiwania przestanku Zygmunt — a widzę, że dłużéj



OPUSZCZONA, BEZ JUTRA.

Elżusia surowo nań spojrzała...

— Te ręce,—panie Zygmuncie, niegdyś kapłan związał u ołtarza... a twoja wola ten łańcuch stargała... Tyś chciał.

— Byłem obłąkany—byłem grzeszny, odparł Zygmunt który szedł nie wiedząc już co się w kołojąc się Piętka. Na Boga! na Boga!.. a też i zbójcom odpuszczają winy... i najstraszniejsze zbrodnie zmazuje pokuta?

Elżusia zwróciła ku niemu twarz spokojną... popatrzała nań długo, zdawało mu się, że się coś szkliło w źrenicy, że drżały wargi jakąś odpotu zostając tylkobym sobie boleści bez nadziei przysporzył — pozwól mi pani, prosić o przebaczenie za przeszłość raz jeszcze... i pożegnać cię na zawsze. Pojadę jutro—miałem trochę nadziei przybywając w te strony... straciłem ją—po cóż męczyć się dłużéj?..

— Jakąż pan mogłeś mieć nadzieję? zimno spytała kobieta...

— Żeś pani zapomniała i przebaczyła! że... ale po cóż to powtarzać raz jeszcze.

— Ja nie widzę w czémby krótka nasza rozmowa położenie i uczucia pańskie zmienić mogła? Wszakże nic powiedziałam nic? Nie chciałam panu uczynić najmniejszéj przykrości?..

— Więc pozwalasz mi pani?..

— Ja nic nie pozwalam i niczego panu nie bronię! żywo przerwała Elżusia... Tyle oczu na nas patrzy! dodała... przerwijmy rozmowę przykrą dla nas obojga... Taniec się kończy...

— Ale po tańcu — czy mi się choć zbliżyć wolno?

— Mówiłam panu, nic nie pozwalam—niczego nie bronię... praw żadnych nie mam...

— Masz je pani, bom ja od trzech lat je złożył w twe ręce całe... wyłamywać się nie myślę. Miałaś pani tego dowody...

Elżusia głową potrzęsła milcząca.

Taniec przedłużał się jeszcze, oczy niemal całego zgromadzenia na nich były zwrócone... Elżusi twarz pałała... Zygmunt bledniał, czerwienił się, mieszał, z dala stojący stryj Eligi mówił już trzecią zdrowaśkę... a Mioduszewski podglądał niespokojny. Tymczasem szereg tańcujących w którym był Zygmunt z Elżusią wszedł do pokoju gdzie właśnie starszyzna około beczki z kielichami gospodarowała — tu wrzawa panowała taka, iż nie wiem czy blizko siebie idący usłyszeć się mogli... przerwać więc musiano rozmowę, a że młodzież domagała się czegoś skoczniejszego, poloneza wreszcie dokończono i każdy z ichmościów panią swą na miejsce odprowadził. Zygmunt też podał rękę Elżusi, a że siedzenie było daleko dosyć, całą tak salę z nią przejść musiał.

Ścisnęli się wszyscy na to patrzeć... szmer podziwienia i śmieszki dały się słyszeć do koła.

W chwili gdy do krzesła ją odprowadził Zygmunt i zawahał się czy ma przy niém stanąć—Elżusia żywo się odezwała:

— Proszę choć na chwilę dać mi ochłonąć i odejść... proszę... proszę.

Piętka natychmiast posłuszny wysunął się, dobrze to sobie w pamięci zapisawszy, iż—„choć na chwilę” powiedziała Elżusia. Wytłómaczył to sobie w sposób bardzo prosty, iż po chwili téj nie będzie mu wzbroniono powrócić.

Tyle szczęścia tego dnia się nie spodziewał, to też do drugiéj izby wszedłszy, Mioduszewskiego widząc w progu, pochwycił go w ramiona i z wdzięczności a radości o mało nie udusił....

— Wszystko to dobrze—zawołał Mioduszewski... ale nic z tego nie będzie jeszcze, jeśli żelaza nie ubijemy dopóki gorące... Spowiadaj mi się asindziéj jak tam było...

Zygmunt nigdy w życiu tak uległym nie był nikomu jak teraz staremu przyjacielowi: opowiedział mu więc wprawdzie niedokładnie, przerywając sobie wielu wykrzyknikami, całą rozmowę... a naostatek zakończenie...

Wypili po kielichu, bo Wojski się tego domagał — daj Boże szczęście!..

— Nie zaniedbujże asindziéj, a jak tylko chwila upłynie, idź i stań za krzesłem i dokuczaj... Powiadam ci żelazo trzeba bić dopóki gorące... Jeśli się tu dziś nie zdecyduje na zgodę, jutro Okonie zaczną odradzać, stryj Eligi płakać, przyjdą przypomnienia, obawy, refleksye.. nie będzie z tego nic, lub jeszcze trzy lata i kobieta się (taka śliczna) wymęczy i wy będziecie pokutowali!.. Tu nie ma co myśleć, trzeba attakować! Wypatruj chwili i nie opuszczaj...

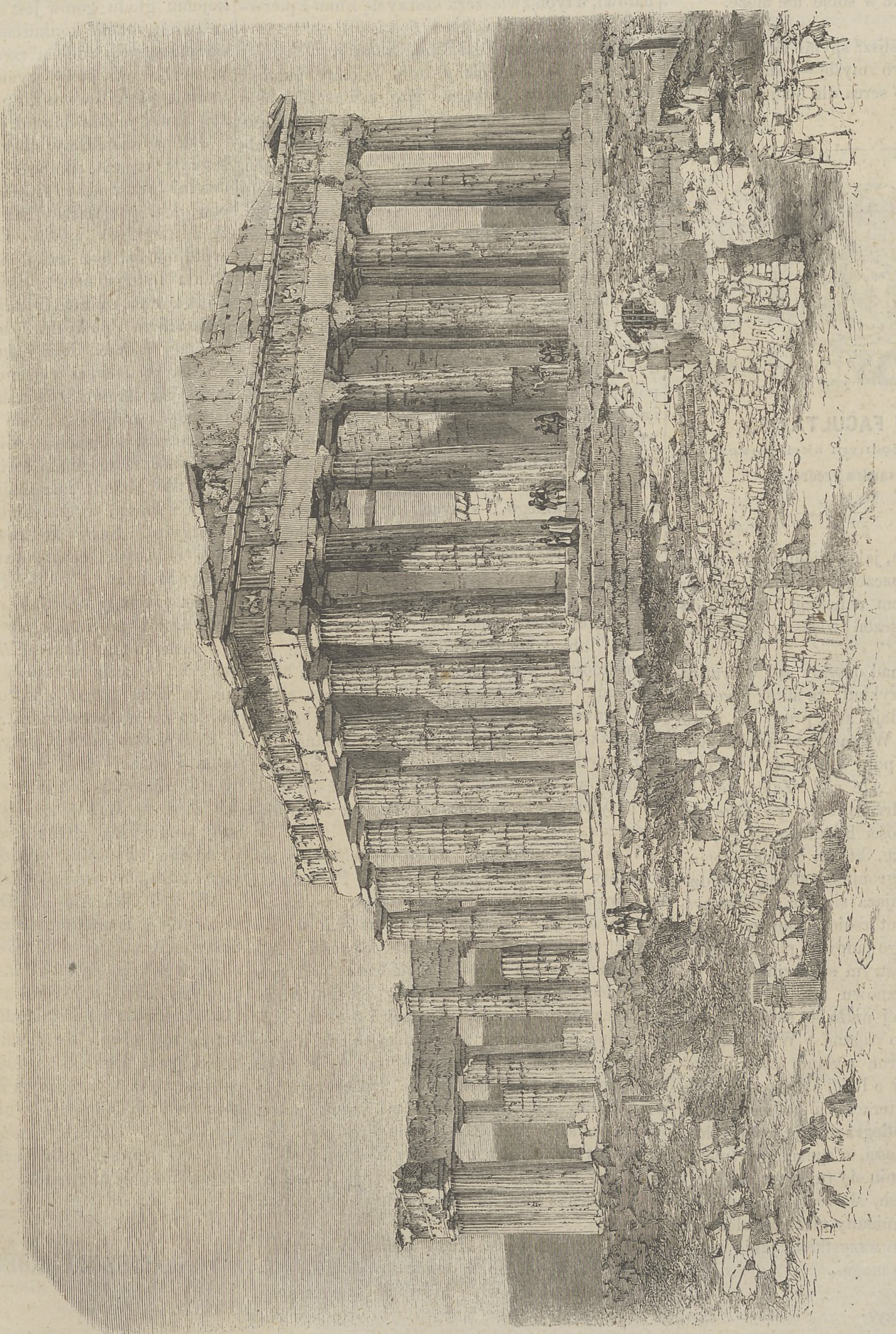
Gdy Zygmunt tak podbudzony wrócił do sali w któréj żonę posadził i gdzie się ją znaleść spodziewał, już jéj tam nie było... Napróżno oczyma szukał, chodził posunął się daléj, obszedł kąty wszystkie — nigdzie Elżusi ani śladu... Ubodło go to strasznie stanął przy uszaku i zadumał się...

— Co tu począć?

Wtém patrzy, z drugiego końca daje mu znaki pani Bartochowska.

— Pani łaskawa—nie ma jéj! zawołał Zygmunt.

— A no nic, nic — nie obawiaj się — powróci zaraz, szepnęła poczciwa kobiecina: potrzebowała trochę ochłonąć, bo była niezmiernie wzruszona. Siedzi w pokoju panny młodéj... daliśmy jéj wodę pić i wódkąśmy lawendową otarli...



Parthenon.

Bardzo wzruszona była—ale bądź dobréj myśli... wszystko się ułoży... kiedy popłakała... to upór w niéj złamany...

Po krótkiéj téj rozmowie, Piętka już stał i czekał.

W drugim pokoju Mioduszewski się kręcił z Borodziczem.

— Trzeba tę kobietę znać, mówił cicho do niego — ona go kocha, onaby może i rada, aby się to wszystko skończyło i zapomniało — ale dumy i troszkę uporu złamać w sobie nie może.

— Ja myślę...

— Cóż waćpan myślisz? spytał Borodzicz.

— Może ja głupstwo myślę—dodał pierwszy, ale dalipan z dobrego serca dla obojga.

— Ale cóż? *(d.c.n.)*



CONSILIUM FACULTATIS.

Komedyjka w jednym akcie przez

Jana Aleksandra Fredrę.

Skromność autorska, jak i wiele zresztą przymiotów ludzkich, tak szczególne miewa odcienia, że najniewinniéj czasem uchodzić może za dowód złéj wiary i roszczeń większych nad zasługę.

A nic łatwiejszego nad omylny sąd w tym razie. Zdarza się naprzykład, że autor przerobiwszy rzecz cudzą, podaje swą pracę za utwór własnego natchnienia. Wypadek to bardzo zwyczajny, i dawnoby już pora oswoić się z tak upowszechnioną metodą. Ale nie! Zaledwie biedny pisarz się gnie drżącą ręką po zakazany owoc duchowéj własności bliźniego swego, zaraz znajdą się krzykacze, którzy z łona *skromnéj* muchy wyprowadza ogromnego słonia, znajdzie się publiczność nie znająca się nic a nic na warunkach wzajemnéj autorskiéj pomocy, znajdą się też na domiar złego jadowite pióra dziennikarzy, skrzypiące to ostrym sarkazmem, to jawném oburzeniem to znowu tak dwójznaczną pochwałą, że ci od niéj mdło się robi na duszy i wolałbyś już na czysto naganę. Wtedy dopiero zaczyna się solidarne wylanie żółci: strzelają złośliwe wzmianki o lwiéj skórze, krzyżują się posępne uwagi o literackiém tandeciarstwie, o puszczaniu w świat odegrzewanych pomysłów ze stemplem oryginalności, o spekulacyi (nie filozoficznéj) i zapożyczaniu się (nie pretensyonalném) firm piśmienniczych, słowem krąży do koła wyraz groźny, brzemienny niezadowoleniem, najnieprzyjemniejszy ze wszystkich, jakie tylko o twórcze ucho obić się mogą...

Plagiat!..

Plagiat... cóż on znaczy?—

Nie wchodząc w żadne inne względy, stajemy w obronie moralnych jego pobudek. Według nas, plagiat częstokroć nie jest nadużyciem spowodowaném przez próżność, lecz aktem głębokiéj pokory. Odnośnie do oskarżonych pisarzy, przyczyna jego leży najprzód w uznaniu zalet wzoru, a powtóre w uczuciu własnéj bezsilności. Wyraźném niepodobieństwem jest bowiem, żeby znakomite talenta chciały lub były kiedykolwiek zmuszone zapożyczać się u mniéj znakomitych, owszem zawsze dzieje się przeciwnie. Oprócz tego niemało trzeba odwagi i niemało zdolności żeby współzawodniczyć z talentami takiéj siły jak np. Byron, Mickiewicz lub Göthe; starać się im sprostać wolno każdemu, ale owoc podobnéj próby, skromność każe brać na własną odpowiedzialność, z obawy, że nieudatne naśladowanie mogłoby szkodzić po trosze oryginałowi, u tych zwłaszcza którzy się z nim z pierwszéj ręki nie zapoznali.

Teraz słówko o *Consilium facultatis.*

Jest to właśnie cichy hołd oddany pamięci Jana Baptysty Moliera. Kto czytał „Malade imaginaire", ten zapewne razem z nami uległ czułemu wzruszeniu na widok téjże komedyi odświeżonéj w formie „Consilium", tak żywo przypominającéj i płod wyobraźni... i bolesną stratę dawno zgasłego mistrza!.. Szczęściem to mimowolne uczucie żalu, nieprzyjazne zadaniu komicznych przedstawień, ustępuje zupełnie przy zjawieniu się na scenie Argana... chcieliśmy powiedzieć Kacpra Bolbeckiego. P. Kacper jest chorym na imaginacyę jak Argan w Malade imaginaire i na niestrawność jak Smakosz w komedyi Fredry (ojca): Przyjaciele. Najbardziéj niepokojące objawy jego cierpień stanowi brak snu i apetytu. P. Kacper wypija wprawdzie z rana kawę, przyczém zjada pięć, sześć rogalików i parę kromek chleba z masłem — ale tyle już i posiłku!.. gdyż dopiero o saméj jedenastéj spożyć może znów cóś lekkiego... sznycel lub rozbratel, a nie prędzéj jak po południu przynoszą mu drugie śniadanie. Morząc się w ten sposób głodem nieszczęśliwy pacyent zmiata jeszcze suty obiad, podwieczorek i kolacyę, poczém udaje się na spoczynek, chociaż więcéj nad parę razy w dzień i ośm lub dziewięć godzin w nocy, spać mu z trudnością przychodzi. Nie lepiej też bywa z piciem. Sprobuje tego... owego wina—żadne mu prawdziwie nie smakuje; chciałoby się to francuzkiego, to węgierskiego, to szampana. Ze starką tylko — pół biedy... Przełyka się parę kieliszków bez wstrętu, lecz żeby tak już—z wielką przyjemnością, to nie! Zwłaszcza drugi kieliszeczek..!

Wszystkie te oznaki złośliwéj choroby zatrważały niezmiernie pana Kacpra. Przeczuwał on swój kres blizki, i oświadczając, uroczyście „że się wynosi," wymagał od domowników stosownéj w tak ciężkich razach troskliwości. Ale przeznaczone mu było doświadczać pod tym względem przykrych niekiedy niepowodzeń z przyczyny służącego, niezdary i żarłoka, który czując się również po każdém objedzeniu się „bardzo cierpiącym," zaniedbywał o ile mógł najczęściej obowiązek czuwania nad chorym panem. Bolbecki krzyczał, przeklinał, łomotał nawet w ostateczności Walusia—nic nie pomagało. Famulus uwziął się dręczyć pana Kacpra, i oddawszy mu na pastwę swoją czuprynę, parzył go niemiłosiernie kataplazmami lub przypiekał szkandelą.

Po śmierci doktora Hugo Bolbecki ujrzał się zmuszonym oddać się w tymczasową opiekę nieznajomemu lekarzowi. Mówimy tymczasową, gdyż marzeniem pana Kacpra było wejść w rodzinne stosunki z jakimkolwiek eskulapem, któryby ożeniwszy się z jego córką, pielęgnował odtąd nieustannie teścia w chorobie. Ale Anusia wbrew woli ojca rozrządziła swojém sercem inaczéj. Przedmiotem jej miłości był młody inżynier Zdzisław, z którym zabrała znajomość goszcząc u ciotki. Gdy oczekiwano niecierpliwie przybycia nowego lekarza, Zdzisław zwyczajem bohaterów molierowskiego kroju, chcąc podobać się rodzicom Anusi, rozpoczyna swoje zabiegi od niczém nieusprawiedliwionéj i bynajmniéj niewiodącéj do celu mistyfikacyi. Przyjmuje on na siebie rolę doktora Rzeszki i łącznie z drugim pseudo-lekarzem, siostrzeńcem pani Kacprowéj, odbywa consilium facultatis. W skutek téj uczonéj narady Bolbecki skazany na dyetę i zimną kąpiel, wypowiada wreszcie posłuszeństwo wyrokowi medycyny, a chociaż znowu po zaspokojeniu głodu gotów jest spełniać co mu będzie zalecono, odtąd konkurent i powinowaty zrzec się muszą swéj roli na rzecz prawdziwego doktora Rzeszki, który wymową swoją skłania natomiast pana Kacpra do przyzwolenia na związek Anusi ze Zdzisławem.

Jak nadmieniliśmy, zlepek dwóch typów smakosza i Argana, Bolbecki, nie jest figurą samodzielnie przez autora stworzoną, lecz koniec końców dość pocieszną. Nie wykracza ona wszakże ze zwykłych ram farsy... uśmiać się tu z konceptu można, lecz szukać w nim głębszego znaczenia byłoby niewłaściwie. Poważna strona życia została całkiem usuniętą z Consilium, a naśladownictwo pomysłu rozciąga się nietylko do głównéj postaci, lecz i do węzła sztuki. Pan Kacper postanawia wydać córkę za lekarza, tak samo jak Argan w jednakowym celu. Przyszły zięć ma opiekować się zdrowiem teścia—oto *ultima ratio* obu sobowtorów.

Nie ma też oryginalności i w szczegółach komedyi. W Malade imaginaire, kobieta przebiera się za lekarza, w Consilium facultatis, czynią to mężczyźni. Nawet koszlawa łacina, któréj używają ci ostatni, naśladowana jest z epilogu komedyi Moliera.

Może mylimy się, może widząc tak rażące podobieństwa powinnibyśmy je sobie tłómaczyć francuzkiém przysłowiem: *les beaux esprits se rencontrent*, chociaż spotkanie się dwóch talentów ma tu raczéj pozór gwałtownego starcia się na bardzo ciasnéj przestrzeni...

Cóżkolwiek bądź, z przyczyny swéj komiczności i dzięki doskonałéj grze Żółkowskiego w roli Kacpra, Consilium facultatis zjedna sobie zapewne dłuższy szereg przedstawień na naszéj scenie, niż wiele innych pretensyonalnych dramatów i komedyj, w które kapryśna Melpomena tchnąć ożywczego ducha nie raczyła.

W roli Walusia p. Damse odznaczył się szczególniéj charakterystyczną mimiką podczas uczty mniemanych doktorów, i w scenie, gdy chcąc wyleczyć się od razu, połknął sporą dozę rhumbarbarum, nux-vomica i rumianku. Pani Oswald starała się uwydatnić jakiś nie dość jeszcze znany odcień sprężystości i wdzięku pokojówki, pani Figarska ozdobiła rolę Kacprowéj pathosem przewyższającym zamiary autora, czego znowu nie dopuścili się, broń Boże! ani przedstawiający kochanka p. Piasecki, ani w roli kuzyna p. Dłużewski. Bezbarwność tych postaci skrupulatnie uszanowano...

OPUSZCZONA BEZ JUTRA.

Niektóre frazesy utarte, znane aż do znudzenia, jedném słowem: komunały, mają jednak tę właściwość, że powiedziane przy okazyi, wywołują na ustach naszych uśmiech szyderczy lubo nieświadomy sam siebie. W poczet takich frazesów wchodzą i pewne przydomki, które przywykliśmy powtarzać bezmyślnie ale złośliwie, z pewnym uporem, choć bez zastanowienia, z pewną pogardą z któréj jednak nie chcemy zdać

sobie sprawy. Przydomki te w formie krótkozwięzłéj, bez dalszego komentarza—puszczamy w świat—lekko, swobodnie, z czystém sumieniem, a z taką jednomyślnością milczącą, jakiejby nam życzyć wypadało przy wszystkich sprawach ogólnego dobra. Przydomki te krążą w powietrzu, ustalają się w pamięci ludzkiéj, osiedlają w zwyczaju i ogólnym poglądzie, przechodząc wreszcie z pokolenia w pokolenie już jako pewnik moralny lub psychologiczny, dostrzeżony, zbadany i nieomylnie stwierdzony.

Stan panieński doszedłszy do pewnéj granicy wieku, po za którą wyrzec się już musi nadziei przemiany—obdarzany był szczodrze po wszystkie czasy tego rodzaju epitetami, usiłującemi go ośmieszyć i skarykaturować.

Stara panna! - to przedmiot na którym każdy, i najniepokaźniejszy, próbował swego dowcipu z większém lub mniejszém powodzeniem—ale to smutne—że zawsze z powodzeniem.

Stara panna!—i jakże się tu nie śmiać?! Czyż nie warta śmiechu ta niegdyś piękna dziewica, która nie chcąc iść za popędem zmysłów lub rachubą, a nie mogąc wybrać sercem—wolała zwiędnąć w długiéj samotności, w goryczy opuszczenia, w tajonéj tęsknocie za szczęściem, jakie niezaprzeczenie daje rodzina, ognisko domowe?! Czyż nie zasłużyła na szyderstwo wtedy, gdy była jeszcze młodą za to że nie jaśniała blaskiem wdzięków, że nikt na nią nigdy nie spojrzał, nikt nie szepnął słów, od których młode serce raz choćby w życiu goreje? Dla czegoż będąc brzydką, przeżyła lat tyle? I dzisiaj zostawszy starą panną,—miałażby uniknąć szyderstwa?

Gdzież kanarki, suczki bonońskie, małpki chowane i koty o jedwabnéj sierści?

Wszak to jéj orszak zwykły?!

A jaka złośliwa! Każde słowo—które powie tchnie zazdrością, jadem złości i goryczy. Pochwaliła urodę pani Ewy—pochwaliła, ale w duszy zazdrość ją pali. Oburzyła się mimowolnie na lekkomyślność pani Julii, dbającéj więcéj o grono admiratorów aniżeli o drobne dziatki—to zazdrość! Przestrzegła młodziutką siostrzenicę przed zabiegami pana Mieczysława (zużytego fanfarona)—to zazdrość! Wszystko co powie, co czyni, nacechowane zazdrością i zemstą... za zmarnowane lata młodości, za niemiłosierdzie tylu mężczyzn, którzy przeszli mimo niéj obojętnie nie podawszy jéj ręki, nie zaprosiwszy na towarzyszenie w długiéj życia podróży.

Taki mniéj więcéj typ staréj panny—przechował się tradycyjnie aż do naszych czasów—taki przedstawiały wszystkie po większéj części europejskie literatury (*) nie wyłączając i naszéj. Nic dziwnego więc, że mówiąc o staropanieństwie, wykrzywiamy usta w drwiący uśmiech, i wzruszamy pogardliwie ramionami.

A jednak—czy te kobiety wydziedziczone losem—zasłużyły na takie lekceważenie?—czy nie wyjątkowo tylko zdarza się własna ich wina, kaprys lub rachuba?—i czy nie stokroć winniejszy a przynajmniéj śmieszniejszy stary kawaler, który *mógł* dobierać i wybrać, podczas gdy kobieta czekać musi aż będzie wybraną?

Mężczyzna bawi się, igra z uczuciami lekkomyślnie albo w egoistycznych zamiarach,—najczęściéj zaś bez celu, z próżności, dla dogodzenia miłości własnéj, dla zdobycia sobie sławy miniaturowego Lowelasa, a często także po prostu: „dla zabicia czasu“. I ani się spostrzegł, kiedy włosy pokryły się szronem, twarz pofałdowała w zmarszczki a serce wypaliło lub wystygło. Został starym „kawalerem“, i nikt mu tego za złe nie bierze; prawodawca na wzór rzymskiego nie obłożył go podatkiem za celibat,—grono znajomych nie spostrzegło w nim żadnéj śmieszności i nie pozwala sobie żadnych żarcików z jego siwizny, marudziarstwa, systematycznych przyzwyczajeń, z jego samolubnego osamotnienia i z życia na sposób Tymona. Nikt nie wyszydza jego sposobu mówienia, myślenia i działania—nikt nie podaje w złą wiarę jego prawdomówności, ani nikt nie przedrzeźnia jego poglądów na świat i życie. Oszczędziła go tradycya, oszczędziła teraźniejszość. I literatura (nawet Korzeniowski nie może tu być wyjątkiem, bo jego typy starych kawalerów, eks-wojskowych, budzą szacunek i spółczucie) obeszła się z nim dyplomatycznie lub neutralnie. A cóżby tu różnicę stanowić mogło między starym kawalerem a starą panną?—płeć chyba—bo wszystkie inne względy moralne i społeczne przemawiają za drugą nie za pierwszym.

Nie pierwsza to jednak niesprawiedliwość społeczeństwa—nie pierwszy przedmiot do potrzebnéj reformy.

Mówimy i piszemy tyle dziś o emancypacyi, o równouprawnieniu kobiet w pracy, o możności ich zarobkowania i zajmowania stanowisk, a nie pomyślimy nawet ile tych istot przezwanych: „guwernantkami“, nie zaznawszy za młodu nadziei i jakiegokolwiek szczęścia—nie odpoczywając w dojrzalszych latach—narażonych jest nadto na niesprawiedliwe lekceważenie i szyderstwo.

Atoli zejdźmy niżéj o jeden szczebel.

Mówiliśmy o starych pannach klasy średniéj to jest o tyle zamożnéj, że kobiety w niéj dochodzą do pewnego stopnia ukształcenia i towarzyskiéj ogłady—że jakkolwiek później puszczone samopas w świat na walkę o byt, pracować muszą ciężko, pracować bezprzestannie,—to jednak zarabiają tyle, że nie umierają z głodu i chłodu; to jednak mają tyle przynajmniéj opieki, że ten obcy dach pod którym zmuszone przebywać, chroni ich od szorstkich codziennych utarczek z nielitościwymi lub obojętnymi — co na jedno wychodzi—ludźmi,—z nieubłaganemi jak martwa litera prawa, stosunkami i wymaganiami;—krótko mówiąc, chroni ich od najstraszliwszego opuszczenia.

Okropny to wyraz, okropniejsze jeszcze jego znaczenie.

Wejdźcie ze mną w głęboką piwniczną norę, zwaną elegancko: sutereną. Przetłomaczmy dosłownie ten wyraz, a będziemy mieli trafne orzeczenie: podziemia. Pod ziemią jesteśmy, nie dochodzi tu nigdy promyk słońca czyli jasności i ciepła, mury wiecznie zapłakane za dotknięciem przeszywają dreszczem wstrętnego zimna i wilgoci, trudno tu odetchnąć czystém powietrzem, w pośród najpiękniejszéj pory roku czuć zawsze stęchłą zgnilizną. Suterena ta jestto niewielki kwadrat, przestrzeń którego zawalona gratami wszelkiego rodzaju. Obok wysokiego pomalowanego kufra kubeł wody, obok desek zbitych w kupę nakształt tapczana, kosz z bielizną; trochę daléj stół duży a na nim stos aktów urzędowych, piór gęsich kilkanaście, opleśniały kałamarz otoczony okruchami chleba, potłuszczone karty, stara podarta książka do nabożeństwa i żelazko do prasowania.

Przyjrzyjcie się bliżéj.

Na tapczanie leży troje dzieci, jakby zwiniętych w kłębek, otuliły się cienką kołderką, i usnęły. Wolały sen niż figle, wolały sen niż głód niezaspokojony. Przy owym stole, siedzi mężczyzna siwy w okularach na nosie, schylony nad papierami.

Pisze nie podniosłszy nawet oczu na młodą dziewczynę, która zacisnąwszy się w najwidniejszy kącik—usiłuje z trudnością nawlec igłę.

Panuje cisza głęboka,—kot tylko centkowany w żółte plamy, schudzony, zlazłszy z zimnego przypiecka, wskoczył na stół i z największą flegmą, nie wiele sobie robiąc z pana domu, wydłubywał rozrzucone okruszyny, pomrukując pogardliwie pod nosem.

Wtém—otwarły się drzwi, kobieta 40 letnia, okryta wyszarzaną chuściną, dźwigając tobołek w ręku, weszła powoli i nic nie mówiąc, usiadła na ławce tuż przy drzwiach.

Piszący położył pióro i zapytał:

— No cóż?

— Cóżby? Nic dać nie chce, powiada że to licha warto—kupić kupi, ale w zastaw wziąść nie chce. — Westchnęła głośno. — Dziewczyna powstała od okna, zbliżyła się i rzekła:

— Skończę jutro robotę—niech się matka nie troszczy.

— Tak, jutro! a jeszcze ci może nie zapłacą! a tu gospodarz dłużéj ani godziny czekać nie chce. Już i tak czeka nam dwa kwartały!

— Józiu! idź do gospodarza, poproś żeby do jutra zaczekał.

— Ani się waż!—krzyknęła matka—niech nas wyrzuca na bruk. Tam przynajmniéj słońce, gdy tu! i spojrzała na dzieci leżące na tapczanie żółte i zwiędłe przed czasem.

W rysach kobiety przebijało się postanowienie nie walczenia do ostatka z nieubłaganą dolą, ale wyzwania go z rozpaczą, z wściekłością zaciskającą pięść groźnie... choć nadaremnie!

Chcecie wiedzieć co się daléj stało?—Gospodarz zaczekał nie dzień jeden, dni dziesięć i dwadzieścia, a mimo to mieszkańcy podziemia, zapłacić nie byli w stanie. Zarobiony skąpo grosz szedł na chleb, mleko, drzewo i lekarstwa. Ojciec jako kancelista przepisywał po całych nocach, córka szyła po całych dniach i nocach, matka pielęgnowała dzieci, gotowała, obszywała, łatała, nosiła wodę, prała, dźwigała ciężary... aż i raz zaniemogła od razu, padła na barłog... i rodzinie zabrakło jedynéj, ostatniéj opieki!

Schorowane dzieciaki—nie długo na szczęście cierpiały. Została tylko córka z ojcem. Okropnie powiedzieć—że wtedy dopiero obojgu dola się ulżyła. Wystarczało im na chleb codzienny i na kąt cieplejszy. Ośmnastoletnia Józia—nie miała innéj przyjemności prócz téj, że raz na tydzień szła z ojcem nad brzegi Wisły. A niedługo i téj przyjemności zrzec się trzeba było, bo stary ojciec chorzał coraz bardziéj, aż tknięty paraliżem, położył się na dobre. Serce pięknéj Józi starał się pozyskać czeladnik ślusarski—lubili się oboje, ale ubogi czeladnik nie byłby w stanie wziąść z córką i ojca, Józia zaś ojca opuścić nie mogła i nie chciała.

Trzy lata przykuwała ojca nieubłagana choroba do łoża, któreby nazwać można: „Madejowem“. Przez trzy lata, córka była jedyną jego podporą, pracowała za czworo nie mając czasu nie już na rozrywkę, ale choćby na odpoczynek. Serce jéj nie miało już sposobności przemówić, a myśl stroskana nie wywołała obrazów pogodnych, nie pobudzała do marzeń—bo marzyć ubogim nie wolno.

Została samą—sierotą w całém znaczeniu tego słowa. Nikogo na świecie,—ani nawet fałszywych krewnych, ani przyjaciela któryby wsparł radą, zasłonił ramieniem, podtrzymał upadającą ze znużenia.

(*) Prawie jedyny wyjątek stanowi angielska autorka p. Currer-Bell.

Odtąd, życie nie było dla niéj pasmem trudów i nagrody, chmur i promieni jasnych, czyli tem przynajmniéj czém bywa dla większéj części śmiertelników, nie drzemiących na łożu zasłaném różami; ale była ciągłą, przygniatającą robotą, nieustanném jarzmem, nieubłaganą zależnością, zależnością od najpierwszych potrzeb życia, pańszczyzną dobrowolną a konieczną, walką na pazury, wychwytującą z największém wysileniem kawał czarnego chleba, którym pogardzają służalcy bogaczów.

Czy wśród takiéj walki, kobieta ta—nauczona w dziecinnych latach czytać i pisać,—a więc już nie pozostająca w stanie zdziczenia, właściwego proletaryatowi miejskiemu—miała czas pomyśleć kiedy o pociechach jakie znajdują ludzie możni lub ukształceni;—czy miała sposobność obejrzeć się po za siebie i pomyśleć o zadowolnieniu krzyku serca, tęsknoty, jaka każdego człowieka ogarnia za ludzkiem przywiązaniem? Była ona tak maleńką i nieznaczną jednostką, tak drobném ogniwkiem w łańcuchu społecznym, że uczuć to musiała, a uczuwszy szukać pokrzepienia, ratującego ją od zwątpienia w miłosierdzie Boga.

Gdyby zachorowała, niktby jéj nie odwilżył kroplą wody ust spieczonych, gdyby umarła, wprawiłaby tylko w kłopot właściciela domu, zmuszonego może za trumnę zapłacić! Wiecznie sama i opuszczona—sama wobec codziennego niedostatku, sama i bezbronna wobec napaści ulicznych Don-Żuanów, — sama ze swojemi myślami, ze swojemi wspomnieniami wcale nie wesołéj młodości!

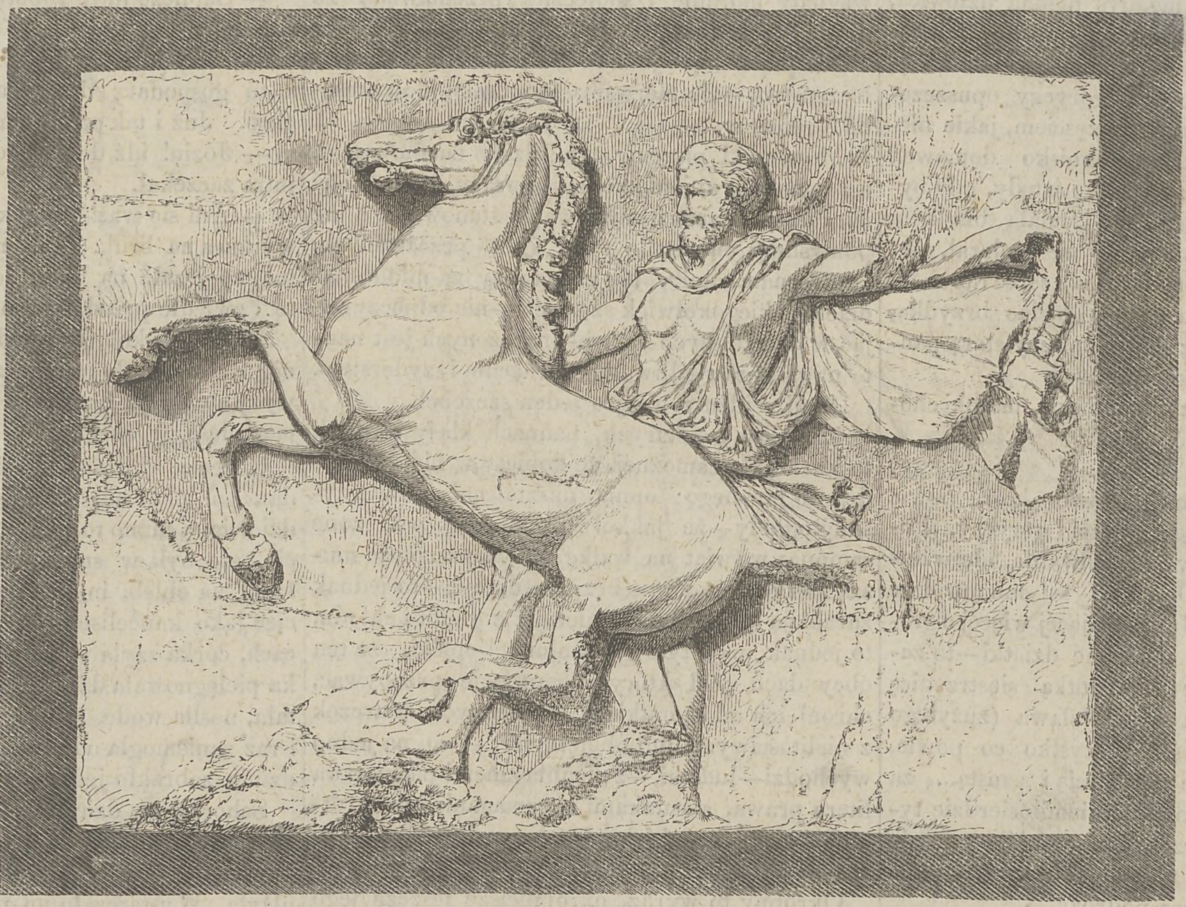
I ani się spostrzegła jak została *starą panną*! Jéj niedosięgnie szyderstwo towarzyskie, bo towarzyszami jéj są tylko cztery nagie ściany; z jéj zapadłych od natężenia oczu, z głęboko pooranéj twarzy, z wychudłych rąk i szyi—nikt się śmiać nie będzie — nikt — ale też w ostatniéj chwili, chwili wyzwolenia dla wydziedziczonych tego świata—nikt nad nią nie zapłacze!

Przechodzi przez to życie samotnie, co krok raniąc sobie nogi o ostre na drodze jéj rozsiane kamienie; udając się na spoczynek, wie że dla niéj niema „jutra"—niema rodziny, niema pociechy ani nadziei polepszenia, a przecież trzyma się przy życiu dobywając sił ostatnich! Oto patrzcie!.. Dawno już po północy... szczęśliwi bawią się lub śpią... ona skulona, zziębnięta, otulona łachmanem... szyje. Dziś może jeszcze nic nie jadła... na twarzy wynędzniałéj, skamieniałéj ciągłym trudem, zmartwiałéj tém galernictwem roboty... zamarł już wszelki wyraz... Domyśleć się go nawet byłoby trudno, gdyby nie wykrzywienie ust przerażające boleścią, i gdyby nie ten niemy gest opadłéj bezwładnie ręki... Mówi on: „dosyć już—więcéj, to nad moje siły!"

* * *

Artysta dał Wam czytelnicy, obraz wysnuty nie z fantazyi ale z rzeczywistości, która jest od niéj zawsze straszniejszą i prawdziwszą. Potrzeba tylko umieć patrzeć na nią okiem doświadczenia, a odczuwać ją sercem pełném miłości bliźniego.

Ed. Lubowski.



Ułomek fryzu Parthenońskiego. (149).

KORESPONDENCYA.

Florencya, w Kwietniu 1872.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 33).

Dla lepszego i zupełniejszego przedstawienia stanu rzeczy, winniśmy dodać jeszcze kilka szczegółów, które ułatwią czytelnikowi wyobrażenie sobie rzeczywistego tutejszego położenia. Najpierw trzeba wiedzieć, że teatra florenckie, jak wszystkie inne w Italii, nie mają stałego personelu, lecz takowy z każdym sezonem teatralnym, których zwykle jest 4 a niekiedy 6 w ciągu jednego roku, zmienia się zupełnie, a to skutkiem częstéj zmiany podróżujących entreprenerów którzy nie mają własnych trup stałych, lecz stosownie do miejscowości i własnych zasobów angażują na każdy sezon artystów z całéj Italii, już to bezpośrednio znosząc się z nimi, już to za pomocą odpowiednich agencyj egzystujących w głównych miastach. Medyolan naprzykład jest centrem samych znakomitości, i tutaj zazwyczaj zagraniczni entreprenerowie organizują i kompletują swe melodramatyczne szeregi.

Zazwyczaj każdy dobry *impressario*, zwłaszcza mający w jakiémś mieście zabawić przez cały teatralny sezon i otrzymywać subwencyę municypalną, stara się o dwie rzeczy, aby skład jego personelu był jak najlepszy i aby repertuar składał się ze sztuk doborowych i jak można najnowszych lub zupełnie świeżych. Tym więc sposobem nietylko dla emulacyi, ale z saméj natury rzeczy, każdy podobny przedsiębierca, jeżeli nie kilka sztuk nowych, to przynajmniéj jedną stara się co rok nabyć dla swego repertuaru, a że Melpomena na kilkuset ma przynajmniéj 150 tego rodzaju gorliwych i renomowanych kapłanów, więc bez przesady można powiedzieć, że literatura dramatyczna w Italii rocznie co najmniéj o 150 nowych utworów się wzbogaca.

Z kolei rzeczy chcielibyśmy teraz słów kilka powiedzieć o *Operze Włoskiéj*, którą ażeby lepiéj przedstawić, w pierwéj zastanowimy się nieco nad stanem muzyki. Myliłby się bardzo, ktoby mniemał, że Italia pod względem muzycznym stoi wyżéj od innych narodów; przeciwnie, stoi ona o wiele niżéj aniżeli Niemcy lub Czechy. Głównie ztąd to pochodzi, że Włochy *głos ludzki, aryę, duet, melodyę* uważają za duszę, podstawę całéj sztuki muzycznéj, samą zaś muzykę cenią tylko jako ornament, akompaniament, dopełnienie śpiewu. Posłuchajmy co w tym względzie mówi jeden z lepszych professorów tutejszego muzycznego konserwatoryum Aleksander Biagi, pisujący tygodniowe przeglądy muzyczne we florenckich dziennikach pod pseudonimem *Hypolita z Albano* „*Że melodya* pisze on w jednéj ze swych recenzyj w *Gazzetta d'Italia*, jest duszą, jest wszystkiém w sztuce muzycznéj, nie ulega najmniejszéj wątpliwości. Lecz nie każdy szereg po sobie następujących dźwięków, jaki się nam przez myśl przesuwa, lub też wydobywa z pod palców uderzających w klawisze fortepianu, jest w artystyczném znaczeniu melodyą. Melodya wtedy tylko jest cenną, wtedy jest najwyszukań-

Dalszy ciąg w dodatku.

Do niniejszego Numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA" Nr. 34-go.

szém dziełem sztuki, gdy pięknéj i wyrobionéj formie towarzyszy wyrażenie żywo i estetycznie osnutego afektu, gdy dźwięki przyjemne dla ucha i oddawane językiem piękna są niejako sukienką myśli, uczuć, affektów, gdy skutek wrażenia akustycznego jest środkiem do przenoszenia słuchacza ze świata fizycznego do moralnego, z zadowolenia zmysłów do uciechy serca i umysłu. Bez tego melodya jest niczém, a zwłaszcza też w Italii, gdzie nie ma dziecka, ani też tak surowego człowieka, któryby nie umiał pewnego mniéj lub więcéj długiego szeregu dźwięków ująć w formę rytmiczną."

Rzeczywiście, wyznać należy, że Włochy pod względem *melodyi* są rzeczywiście pierwszymi w świecie mistrzami, ale także i to dodać trzeba, że *harmonii* i instrumentacyi nie znają całkiem, a przynajmniéj bardzo słabe mają o niéj pojęcie. Widzimy to najlepiéj w uderzającéj różnicy pomiędzy operami mistrzów niemieckich i włoskich. W pierwszych głos ludzki nie stanowi odrębnéj całości, lub też wybitnéj części, lecz w ogólnéj harmonii miesza się z instrumentacyą i zlewa się zupełnie z orkiestrą w jedną zachwycającą i unoszącą naszą duszę całość: Przeciwnie w operach italskiego *maestro* orkiestra jest tylko albo przegrywką, wstępem i antraktem, albo też rzeczą całkiem dodatkową do śpiewu, któremu albo zupełnie wolne pole zostawia, lub też nieśmiało, z cicha, że tak powiem, z bojaźliwém uszanowaniem sekunduje. Szkoła więc italska zupełnie jest odrębna i różna od szkoły niemieckiéj, bo w odmiennych i sobie tylko właściwych rozwija się warunkach, i tak się zrosła, zżyła, zjednoczyła a raczéj zaobsorbowała charakter tutejszego ludu, że ten oprócz niéj i nad nią nic uznać, pojąć i ocenić nie chce i nie może. Z téj to przyczyny twórcze dzieła szkoły niemieckiéj nazywa harmonijnym chaosem, rozpraszającym i ogłuszającym słuchacza, *un sturdimento*, a w najlepszym razie, niejako z litości i pobłażania, daje im miano niewyraźnych i niedobrze jeszcze zdefiniowanych tendencyj i kierunków sztuki muzycznéj, która się dopiero kiedyś w przyszłości rozwinąć może,—jednem słowem muzykę szkoły niemieckiéj nazywają Italowie *musica dell'avvenire*.

W praktycznem zastosowaniu szkół wzmiankowanych, opera niemiecka daleko łatwiejsza jest w wykonaniu, więcéj toleruje a nawet łagodzi i pokrywa niedostatki i błędy śpiewaków i jedynie wymaga twórczego talentu i sumiennego wykończenia od kompozytora; przeciwnie zaś opera italska nie wymaga wiele téj, że tak powiem, encyklopedycznéj znajomości w tworzeniu, ale za to całe swe powodzenie opiera na dokładnem wykonaniu przez artystów każdéj chociażby najprostszéj partycyi. Dla tego też, gdy w operze niemieckiéj niewyrobienie, niepewność lub względna niekompetentność artysty ginie w silnych akordach instrumentacyi, która zkąd inąd naprowadza i trzyma go na właściwéj drodze, w operze italskiéj najmniejsze zachwianie się głosu, najmniejsza pomyłka w tonie, niewprawne lub tylko przypadkowo nieszczęśliwe sekundowanie towarzysza, sprowadza artystę z toru na co raz większe bezdroża, męsza go i konfunduje, skutkiem czego traci wiele wykonanie i skompromitowane bywa powodzenie aryi, duetu, będących niemal główną podstawą i jedynę krasą tutejszych oper.

W takim stanie rzeczy, do którego nawiasowo dodaćby należało harmonijność języka, wrodzony sentyment, słuch delikatny, dobre zbudowanie i rozwinięcie pod wpływem łagodnego klimatu wszystkich organów głosu, nic dziwnego, że szkoła italska pod względem kreacyi niższa od niemieckiéj, wydaje licznych artystów, którzy są dla świata *podziwem* pod względem harmonii i piękności głosu, a pod względem artystycznego wyrobienia *potęgą*.

Po tych ogólnych uwagach przechodzimy do skreślenia szkicowéj miniatury tutejszéj opery, która o ile zyskuje na sławie za granicą, o tyle pod względem wykonania traci w Italii, a to dla tego, że wszyscy lepsi i znakomici artyści pieszczeni, uwielbiani i osypywani złotem, honorami i zaszczytami (trzeba wiedzieć, że gdy artysta pierwszorzędny za sezon teatralny otrzymuje w Italii 10 do 12 tysięcy franków, za granicą w tymże samym czasie zarabia od 80 do 120 tysięcy) w Paryżu, Londynie, Petersburgu, Madrycie i Kairze, gdzie pod każdym względem są najlepsze, największe i najznakomitsze opery włoskie, we własnym kraju są tylko gośćmi, turystami odbywającymi *villeggiaturę*, lub wreszcie bawią o tyle o ile ich zdrowie i stosunki familijne tego wymagają. Skutkiem tego w tutejszéj operze rzadko spotykamy się ze znakomitościami i zazwyczaj kontentować się musimy miernotami, debiutantami lub podupadającymi już artystami.

Na dowód, że nie przesadzam w mym sądzie, ani też cierpię na angielski *spleen*, przytaczam zdanie wspomnianego już profesora Biagiego o zeszłorocznym sezonie karnawałowym i wielkopostnym, który, jak wiadomo, należy do najświetniejszych z całego roku. „Tak zwany tegoroczny (1871) sezon muzykalny i teatralny już minął i także tego roku we Florencyi, zarówno jak wszędzie, włókł się niedołężnie i nudno. Biada ze *Scalą* medyolańską, biada z *Królewskim Teatrem* w Turynie, z *Fenixem* w Wenecyi, z *San Carlo* w Neapolu!... Nigdzie nie było żadnéj nowéj opery, żadnego śpiewaka, któryby coś na przyszłość obiecywał; początkujący, jak zazwyczaj, niewykształceni, sztywni, bez żadnego pojęcia o sztuce, starzy zaś z głosem stłuczonym lub całkiem zużytym. Słowem zero na całéj linii bojowéj, i melodramat, to najprzyjemniejsze widowisko, ta uczta zmysłów i umysłu razem, jeden po drugim powoli ze swoich traci powabów i przeistacza prawdziwie w jakąś szkołę cierpliwości (va mutandosi in una vera e propria sofferenza). Już do tego doszły rzeczy, że będąc na przedstawieniu opery, najmniéj dwadzieścia razy, że się ma uszy, żałować trzeba".

Kilka tych wierszy przez samego Włocha nakreślonych, dosadnie przekonywa czytelników o tém, com wyżéj powiedział: że *muzyka* nic prawie nie postępuje naprzód, i skutkiem tego opera nie tyle może pod względem kompozycyi, ile właściwie pod względem wykonania nie rozwija się odpowiednio do wymagań i potrzeb czasu, i można nawet powiedzieć, że pod pewnym względem upada.

Aby złemu zaradzić ministeryum oświaty i wychowania publicznego w zeszłym roku wydelegowało z ludzi kompetentnych oddzielną komissyę pod przewodnictwem Verdego, aby obmyśliła środki podniesienia muzyki i przeprowadziła reformę w elementarnem kształceniu w téj sztuce, a to przez reorganizacyę istniejących już konserwatoryów muzycznych i przez zaprowadzenie nowych. O ile nam wiadomo, komissya Verdego projekt swój wykończyła i przedstawiła odnośnemu ministerstwu, które niebawem ma wydać stosowne dekreta i regulamina dla zakładów muzycznych.

Jako wyjątek od ogólnéj sytuacyi muzyki i opery tutejszéj z radością zanotować tu musimy przedstawienie w Nowym Teatrze podczas sezonu wiosennego nowéj opery młodego *maestro* Bacchiniego pod tytułem: *Obraz mówiący* (Quadro parlante). Dla braku miejsca pomijam *libretto*, dość nudne i monotonne w swéj treści, a głównie zwracam uwagę na muzykę, która podobała się nam bardzo, i radzibyśmy, aby autor wytrwale się trzymał obranéj drogi, starając się melodyę italską pogodzić a raczéj zrównoważyć z harmonią niemiecką. Melodya *Obrazu mówiącego* jest porywająca, mianowicie w śpiewach kochanków, która dla tego wiele zyskała, że żywym i namiętnym był akompaniament. Co się zaś tycze saméj instrumentacyi niemieckiéj wprowadzonéj do téj opery, wyznać należy, że jeszcze nieśmiałe i nie pewne są w niéj kroki autora. Mimo tego utwor Bacchiniego jest szczęśliwym zwrotem w szkole italskiéj, i bez względu na to, że nic on stanowczego nie orzeka o przyszłości tego *maestro*, z uznaniem powinien być przyjęty przez zwolenników szkoły niemieckiéj, to jest muzyki klasycznéj, kierowanéj przez takich geniuszów jak Liszt i Wagner.

Ostatnie to nazwisko w samą porę przychodzi, aby usprawiedliwić nasze orzeczenie nieco wyżéj powiedziane, że opera Bacchiniego stanowi wyjątek w obecnéj sytuacyi. Zdawało się, że *Lohengrin* z wielkiém powodzeniem przedstawiony przez najlepszą w Italii trupę Marianiego z Genui i z niesłychanym entuzyazmem przyjęty jeżeli nie przez całą śmietankę arystokracyi i inteligencyi italskiéj, to co najmniéj przez ludność dwóch miast Bolonii i Florencyi, zada cios tutejszym muzycznym pedantom i szalę zwycięztwa przechyli na stronę szkoły niemieckiéj; nie przyszło do tego jednakże, bo zagrożeni w swym bycie melomani włoscy umieli zręcznie odkryć pochwycić i wykazać swéj publiczności ujemną stronę opery Wagnera i tym sposobem osłabić jéj wpływ szkodliwy. Wyśmiewanego i oplwanego przez Italów Wagnera opera Lohengrin, wprawdzie już od 20 lat znana jest w Niemczech, lecz w Italii dopiero w Październiku roku zeszłego po raz pierwszy była przedstawiona w Bolonii, a po 8 świetnych reprezentacyach zazdrośna Florencya sprowadziła całą trupę Marianiego i w teatrze Pagliano z zachwytem przysłuchywała się tym reprezentacyom. Przy sposobności téj słów kilka powiemy o truppie Marianego, dyrektora orkiestry w operze genueńskiéj. Zazwyczaj przez 8 miesięcy w roku kaw. Mariani jest kontraktem zobowiązany do pobytu w Genui i do dyrygowania tameczną sceną, która tylko przez miesiące: Sierpień, Wrzesień, Październik i Listopad bywa zamknięta. W czasie tych wakacyj teatralnych kaw. Mariani ze swoją orkiestrą blizko ze stu wybornych artystów złożoną, udaje się do Bolonii i w tameczném operze występuje jako entreprener teatralny, zgromadzając u siebie najlepszych śpiewaków nietylko italskich, ale europejskich którzy, w tym czasie wszędzie cieszą się feryami letniemi. W taki też sam sposób był zeszłego roku obsadzony personel choralny kaw. Marianiego, który na gorące wezwanie tutejszych mieszkańców i na zapewnienie zapłaty 20,000 fr. za każde przedstawienie, na kilka dni w początkach Grudnia r. z. przybył także do naszego miasta i na samym wstępie do niego wywołał ogólne podziwienie i ciekawość, bo po przybyciu ekstracugiem w kilkudziesięciu karetach i omnibusach w porządku wojskowym z muzyką na czele ru-

szał ze stacyi kolei żelaznéj do wyznaczonego mu teatru. Kalwakata pana Marianiego, oprócz bardzo licznych pak ze świetnemi strojami i dekoracyami, składała się przeszła z 400 osób mniéj więcéj podzielonych na cztery sekcye w ten sposób: czwartą część stanowiła orkiestra, druga czwarta część składała się z artystów śpiewaków i chórzystów, balet liczył ze 150 osób, resztę personelu składała służba i reżysserya. Dla pokrycia tych nadzwyczajnych wydatków ceny biletów w pięćnasób zwiększono i przez publiczną subskrypcyę rozpoczęto ich sprzedaż na miesiąc przed przedstawieniem z tym warunkiem, że jeżeli wszystkie bilety rozprzedane nie zostaną a przynajmniéj summa żądana przez p. Marianiego nie będzie zebrana, subskrypcya będzie uznana za niebyłą, a wniesione pieniądze właścicielom zostaną zwrócone. Obawy jednak okazały się zbytecznemi, bo niespełna w tydzień subskrypcya na wszystkie trzy przedstawienia pokryta została, owszem wiele subskrypcyj późniejszych dla braku miejsca w teatrze zostało odrzuconych.

Jakkolwiek szkoła niemiecka nie otrzymała jeszcze palmy zwycięztwa nad swą współzawodniczką i długo jeszcze będzie musiała staczać z nią o pierwszeństwo boje, wyznać jednakże należy, że pierwsze to starcie zrobiło wielką lukę w szeregach zwolenników swojskiéj szkoły, i że ta straciła wiele na dotychczasowym swoim uroku i blasku, jakim ślniła dotychczas.

Kto sobie przypomina walkę klassyków z romantykami która u nas przed 40 laty wrzała pomiędzy literatami, ten łatwo może pojąć ścieranie się pojęć w sferze muzycznéj i jak w niéj szeregują się obozy. Przyszłość niedaleka okaże, po czyjéj stronie utrzyma się zwycięztwo; co do nas niemal pewni jesteśmy że się takowego spodziewać może szkoła niemiecka, czyli muzyka klassyczna— i że Italia dotąd jeszcze rozmiłowana w swéj samorodnéj sielankowéj i że tak powiem salonowéj melodyi będzie musiała kornie zgiąć kolana przed majestatem swéj potężnéj przeciwnicy, bo opartéj na wszystkich elementach sztuki.

Jako ciekawy epizod téj walki melodyo-harmonijnéj, zasługuje na uwagę żywa polemika powstała po przedstawieniach *Lohengrin'a*, którą tutaj w kilku słowach przedstawimy. Najzaciętsi koryfeusze szkoły italskiéj przyznali wprawdzie: 1) że nikt nie wyrównywa Wagnerowi w umiejętném kierowaniu orkiestrą i że jego instrumentacya niemal do ostatecznéj doprowadzona jest doskonałości; 2) że chóry są z taką umiejętnością, pewnością prowadzone, że nawet ci, którzy się uważają za prawdziwych mistrzów śpiewu, nie mogliby otrzymać podobnego rezultatu, ani też swym kompozycyom nadać podobnego effektu, jaki wywarły na słuchaczach: chór towarzyszący ukazaniu się na scenie Lohengrina na łodzi ciągnionéj przez łabędzie, *modlitwa* poprzedzająca walkę Sądu Bożego, *końcowe finały* w 2 pierwszych aktach, chór w drugim akcie i chór weselny w trzecim; wreszcie po 3) że system Wagnera w Lohengrinie przeprowadzony nie jest ową *muzyką przyszłości*, jak tu go powszechnie nazywano dotąd, ale jest rzeczywistością, nowym postępem już zdobytym, aczkolwiek nie rozwiniętym dostatecznie. W obronie jednakże swéj doktryny operze Wagnera i szkole niemieckiéj następujące postawili zarzuty: 1) pod względem praktycznego zastosowania jest bardzo trudną do wprowadzenia w życie, bo wymaga bardzo licznéj orkiestry i do tego złożonéj z wyprobowanych już artystów; 2) pod względem artystycznym jest o wiele niższa od melodramatycznego systemu, bo w niektórych miejscach publiczność pojąć nie może logiki autora, dla czego np. śpiewacy nie śpiewają, lecz są tylko aktorami i dla czego znowu recitatywa aktorów nagle przerywane są prawie w połowie frazesu przegrywką muzyki? Nadto arye i duety są bardzo słabo rozwinięte i zdają się być utworem autora, który całkiem nie zna zasad śpiewu; tak powszechnie nie podobały się publiczności oba duety w 2 akcie i duet Lohengrina i Elzy w 3-im akcie.

Dla tych i tym podobnych powodów utrzymują ci panowie, że należy zawyrokować, iż opera Wagnera nie jest czémś wyższém w swoim rodzaju od utworów mistrzów włoskich, lecz tylko stanowi odmienny gatunek w tymże samym rodzaju doskonałości, i dla tego powszechnie w Anglii, Francyi, Niemczech i Rossyi, publiczność zarówno gustuje i oklaskami obdarza *Lohengrina*, jak *Cyrulika Sewilskiego, Don Giovanniego, Normę, Wilhelma Tella, Trubadora, Don Pasquale, Ali Baba* i tym podobne. W konkluzyi melomani włoscy powiadają, że nawet w przypadku, gdyby system i muzyka Wagnera w rzeczywistości były wyższemi od tutejszéj szkoły, żadna ztąd ujma dla Italii nie wypływa, bo mistrz niemiecki niczém inném nie jest jak Glukiem w XIX wieku, czyli innemi słowy, że i ten system oddawna jest już znany w Italii. *(d. n.)*

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

O POKARMACH
WEDŁUG ODCZYTU VIRCHOWA.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 33).

Profani za skalę do ocenienia strawności pokarmów co innego przyjmować zwykli. Strawnemi nazywają pokarmy „lekkie,“ nie sprawiające przykrości po zjedzeniu, nie obciążające żołądka; pokarmy niestrawne, czyli „ciężkie“ są takie, po których przyjęciu czuje się ze strony żołądka różne dolegliwości. Taka strawność wcale nie odpowiada pojęciu, jakie nauka do téj nazwy przywiązuje: pokarmy, z naukowego punktu widzenia zupełnie niestrawne, nierozpuszczalne w sokach trawiących, mogą należeć do lekkich pokarmów i odwrotnie; zależy to raczéj od fizycznych własności pokarmu, od sposobu przyrządzania, od dokładności żucia. Każdy pokarm roślinny i zwierzęcy, zawiera, jakeśmy dopiero powiedzieli, mniejszą albo większą ilość części niestrawnych. Jeżeli pokarmy te w odpowiedniéj ilości będą przyjęte, jeżeli będą dostatecznie rozmiękczone, rozdrobnione w skutek operacyj kuchennych, wtedy łatwo przez żołądek przechodzą, niechaj te pokarmy przyjęte będą w znacznéj ilości, w bardzo zbitym kształcie, niewątpliwie zalegną w żołądku i wywołają szereg przykrych i dobrze znanych każdemu objawów. Nawet pokarmy najzupełniéj strawne, rozpuszczalne, obciążać mogą żołądek, jeżeli będą użyte w formie większych, twardych kawałków, u ludzi pozbawionych zębów, albo którym pośpiech zębów przy jedzeniu użyć nie pozwala; soki trawiące mogą działać wtedy tylko bardzo powierzchownie i niestrawione pokarmy „obciążają“ żołądek, tu należy naprzykład mięso twardo ugotowane i niedostatecznie zgryzione, ryż, sago, kasza i t. d. Naodwrót potrawy najzupełniéj niestrawne często do lekkich się zaliczają, jak siekanka z płuc, z saméj prawie sprężystéj, nierozpuszczalnéj tkanki złożona, albo tak ulubione przez wielu uszy świńskie, przy których jedzeniu, nawiasem mówiąc, całą przyjemność sprawia gryzienie chrzęstnéj tkanki.

Jest to upowszechniony przesąd, że żołądkowi należy dostarczyć roboty, że zatem odpowiedniejsze są pokarmy grube, surowe, aniżeli delikatne, przyrządzone odpowiednio. Stronnicy takiego poglądu zalecają naprzykład gruby chleb razowy w miejsce białego, surowe owoce zamiast jarzyn, mięso jak najmniéj wygotowane i t. d... Jest to pogląd bardzo niesłuszny i szkodliwy. W chlebie czarnym znajduje się daleko więcéj cząstek niestrawnych, aniżeli w białym delikatnym, i cząstki te, dostawszy się do żołądka, drażnią bardziéj jego ściany, wywołującruchy mocniejsze i obfitsze wydzielenie soku; to nie ulega wątpliwości. Ale znaczna część wywołanéj tak siły ginie niepotrzebnie: chleb delikatny daleko mniéj ruchów i soków sprowadza, ale też daleko mniéj ich potrzebuje, a przecież silne ruchy żołądka i obfita wydzielina soków są dla nas tylko środkiem, nie celem. Może lekarz przy chorobach, w razie potrzeby zalecić chleb czarny, ażeby pobudzić uśpioną czynność żołądka, ale w stanie zdrowia potrzeba taka nie istnieje. Toż samo odnosi się do owoców: przy gotowaniu pękają błonki z drzewnika, otaczające komórki i właściwie pożywna treść komórek staje się łatwiéj dostępną działaniu soków trawiących; przytem następują w nich pewne zmiany chemiczne, choć już mniejszego znaczenia. Tylko, że przy takiem przyrządzeniu ginie w znacznéj części smak owoców i tak cenne ich własności chłodzące; stosownie więc do tego, czy kto owoców używa dla przyjemności i ochłody, czy też jako właściwych pokarmów, będzie ich używał w stanie surowym lub rozgotowanym: nikt nie będzie używał surowych owoców dla tego jedynie, żeby jego zęby i żołądek wykonały pracę, w któréj doskonale gotowanie wyręczyć by je mogło

Zupełnie inaczéj dzieje się z mięsem. Wprawdzie i mięso przez przyrządzanie staje się bardziéj kruchem, miękkiém, łatwo dostępném działaniu soków, ale tu uwzględnić trzeba pewne szczególne okoliczności. Przedewszystkiém odróżnić należy dwa rodzaje kruchości mięsa; prawdziwa kruchość polega na tém, że włókna mięsne rozpadają się w kierunku poprzecznym i stają się łatwiéj strawnemi, dzieje się to naprzykład przy siekaniu; inna jest kruchość mięsa gotowanego. Przy gotowaniu mięsa dla przyrządzenia rosołu rozpuszcza się w klej tkanka łącząca pojedyncze włókna mięsne, które tym sposobem rozdzielają się ale jednocześnie następuje skrzepnięcie białka, jak w jajach na twardo przyrządzonych; w ten sposób mięso w znacznéj części traci swą strawność, albo nawet staje się zupełnie nierozpuszczalnem. Dla tego to,—mówi Virchow, odwołując się do dawniejszych swych prac popularnych w tym przedmiocie,—ostrzegam tak często niższe i średnie klassy, u których mięso na rosół użyte często jedyną mięsną potrawę stanowi, ażeby zaniechały tak niegospodarskiéj metody. Otrzymany rosół jest to więcéj przysmak, niż pokarm, a pozostałe mięso traci znaczną część swojéj wartości pożywnéj.

A pozostawienie w przewodzie pokarmowym niestrawionych a strawnych części jest rzeczą wcale nieobojętną, choć na nią zbyt mało zwracają uwagi. Cząstki te w żołądku, albo w kiszkach ulegają przemianom, których produkty szkodliwie działają na ściany samego przewodu; pokarmy roślinne mianowicie ulegają dalszym fermentacyom, a zwierzęce rozkładowi zgniłemu. Trzeba jednakże pamiętać, że w tym względzie

pokarmy roślinne stoją obok mięsnych. Wielu bowiem utrzymuje, że tylko mięso gnije w przewodzie pokarmowym i daleko wyżéj stawiają pokarm roślinny. Bardzo wiele biegunek, nawet z wymiotami połączonych powstaje u dzieci w skutek fermentacyi dalszéj niezupełnie strawionych mączkowych pokarmów. Surowe owoce, ogórki sprowadzają często cholerę, dysenteryą (biegunkę krwawą) u ludzi z leniwemi, skłonnemi do katarów kiszkami.

Szczególna okoliczność zmusza ludzi do używania w znacznéj ilości niestrawnych, albo trudno strawnych pokarmów. Jest to chęć zapełnienia czczości żołądka. Popęd ten nie jest wcale identyczny z rzeczywistym apetytem, z żądzą przyjęcia pokarmu; głód jednak zostaje, choć chwilowo i nie zupełnie zaspokojony przez napełnienie żołądka, jakkolwiek niestrawnemi ciałami. W czasie głodu ludzie uciekają się zawsze do pożywania rzeczy coraz mniéj strawnych. Humboldt naprzykład opowiada, że Ottomacy, żyjący w południowéj Ameryce i trudniący się jedynie rybołówstwem, w czasie wylewu rzeki i niedostatku ryb zjadają zwyczajną ziemię w potwornych ilościach. Czem dla Ottomaków ziemia, tém jest dla naszéj najniższéj klassy chleb czarny, albo inne mało strawne, znacznéj objętości pokarmy; sprowadza to następnie wypróżnienia w znacznéj ilości, najlepszy dowód zdrowia i dobrego trawienia podług domorosłych fizyologów. Przyjmowanie pokarmów w znacznéj objętości nie jest wcale dowodem zdrowia, owszem stoi raczéj na granicy stanu chorobnego. Doświadczenia wielu czasów i ludów okazały, że przy bardzo małéj ilości pokarmów, można kwitnące zdrowie zachować. Arab pozostaje w pełni czynności przy garstce ryżu na pożywienie dzienne; robotnik na płaskowzgórzach Norwegii wykonywa ciężką swą pracę przy tak małéj ilości pokarmu, że by ta przeraziła nawet najskromniejszego pod tym względem u nas człowieka. Jedynie z téj części przyjętych pokarmów organizm prawdziwą korzyść wyciąga, która po strawieniu do krwi się dostaje; reszta, pozostała w kiszkach, tylko szkodliwą być może. Tyle o trawieniu. Dalszy rozbiór zajmującéj nad kwestyą ma wykazać, jaki jest los i znaczenie pokarmów, które do krwi już przeszły.

Przez wiele lat jako cechę prawdziwego pokarmu uważano zdolność upodobniania się (assymilacyi) takowych. Przyjęte mianowicie pokarmy w tkankach organizmu zmieniają się, budowa ich chemiczna staje się podobną do budowy samych tkanek i po takiéj przemianie zostają one wcielone do organizmu i wchodzą w skład jego. Stanowi to w pojęciu dawniejszych uczonych, drugie, wyższe trawienie. Że tak się dzieje rzeczywiście, dowodzi najlepiéj życie zwierząt roślinożernych; w tych widocznie prócz trawienia odbywa się inny jeszcze proces, tworzenie z przyjętych pokarmów rozmaitych tkanek. W żołądku lub kiszkach zjedzona trawa nie zamieni się jeszcze na mięśnie, mózg, wątrobę; dzieje się to już w samych tkankach odpowiednich: każda z nich wytwarza z przyjętego pokarmu podobne sobie co do składu substancye. Daléj, rozmaite zwierzęta, z tego samego pokarmu wyrabiają tkanki odrębne: taż sama trawa zjedzona przez wołu wytwarza mięso wołowe, która by się w organizmie barana na baraninę zmieniła; ten sam pokarm wydaje pióra u gęsi, wełnę u owcy, rogi u barana. Bezwątpienia, na jakość tkanek ma wpływ i sam pokarm, ale żaden pokarm nie wyda baraniny w mięśniach u wołu. Toż samo powtarza się u zwierząt mięsożernych. Wilk i lew karmione temi samemi zwierzętami posiadają mięso odrębnych własności. Wszystko to się da pojąć, jeżeli przyjmiemy, że mięso nie jako takie do krwi się dostaje, ale rozpuszczone, zmienione w związek chemiczny innego składu i własności, z którego w organizmie zwierzęcia na nowo mięso się tworzy; na własności wytworzonego na nowo mięsa ma już wpływ przedewszystkiem jakość zwierzęcia. Jest to zasługa Liebiga, że ściśle i jasno postawił różnicę znaczenia rozmaitych pokarmów. Nazwę istotnie pożywnych środków nadaje on tylko pokarmom zdolnym do assymilacyi i oddziela od nich drugą gruppę pokarmów, które w organizmie krótki czas tylko pozostają, łączą się z tlenem przez płuca wetchniętym i przy łączeniu wywiązują ciepło. Pokarmy te nazwał Liebig oddechowemi. Nazwa pokarmów oddechowych polega na błędném pojęciu: sądzono mianowicie, że wetchnięte powietrze już w płucach znajduje pokarmy z któremi się łączy; płuca miały grać rolę pieca w ciele zwierzęcém. Dziś przekonano się, że tak się nie dzieje: krew, przechodząc przez płuca, ochładza się, nie ogrzewa, a tlen, który do krwi się dostał, nie niszczy żadnych związków chemicznych, tylko łączy się z ciałkami czerwonemi krwi. W taki sposób tlen wchodzi w obieg krwi ogólny, z krwią dostaje się do wszystkich tkanek organizmu, gdzie następuje właściwie owo łączenie się przyjętych pokarmów z tlenem, można to nazwać paleniem, choć się dokonywa bez płomienia i dymu. Jakby przeczucie tego palenia, w dawnéj nauce i wśród ludu prostego znajdujemy nazwy: płomienia życiowego, wewnętrznego ognia. Miał to być dar nieba, wrodzony, istniał przez całe życie niezmienny i stanowił niejako podstawę tego życia. Proza nowéj nauki zdarła tajemniczą zasłonę z tego zjawiska. Dziś wiemy, że ciepło zwierzęce nie różni się niczem istotnie od każdego innego ciepła, że jest ono tak samo znikome, a ciągle trwa w organizmie, bo przez przyjmowanie pokarmów ciągle się na nowo wytwarza. Ilość wytworzonego ciepła jest rozmaitą, zależy od różnych okoliczności, mianowicie od temperatury otaczającéj.

Organizm ludzki właśnie ma możność rozleglejszą niż jakakolwiek może inna istota organiczna, regulowania ilości utlenionych substancyj i ztąd wysokości ciepła zwierzęcego; dla tego człowiek żyć może zarówno w okolicach upałów równikowych i podbiegunowego mrozu, przedstawiając zawsze tę samą temperaturę krwi. Z tego punktu widzenia rzeczy przedstawia się człowiek jak piec, pokarm jak materyał opałowy; dla tego przestarzałą Liebigowską nazwę środków oddechowych można by zastąpić odpowiedniejszą nazwą środków ogrzewających; wszystkie pokarmy rozpadłyby się tym sposobem na dwa działy: środków odżywiających i środków ogrzewających.

Jest kwestyą niezmiernéj wagi dowiedzieć się, czy pewne stałe pokarmy grają rolę zawsze środków odżywiających, a inne służą zawsze jako ogrzewające wyłącznie. Rozdział taki byłby niezmiernie ważnym dla pojedyńczego człowieka, daleko ważniejszym dla państwa przy układaniu naprzykład dyety dla wojska. Nieocenionym byłby podział taki dla lekarza, który w gorączkach naprzykład mógłby bardzo łatwo zmniejszyć nadmierne ciepło organizmu i podnieść podupadłe odżywianie.

Badania chemiczne niedawnych czasów najdaléj przez Liebiga doprowadzone, odgraniczyły stanowczo dwie te gruppy pokarmów. W największéj ilości tkanek organizmu jako najważniejsze części składowe przedstawiają się związki azotowe: białko, pokrewny mu włóknik i sernik, pochodne (derywaty) białka substancye klejodajne i t. d. Dla tworzenia na nowo zniszczonych takich tkanek, dla ich odżywiania, potrzeba podobnych im także azotowych substancyj. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, Liebig za środki istotnie pożywne uznał tylko pokarmy mięsne: mięso, jaja, mózg, mleko i t. d. Wprawdzie i większa część roślin za pokarm używanych także ciała do białkowych podobne w składzie swoim zawiera, jednakże ilość jest tak małą w porównaniu z białkiem pokarmów zwierzęcych, że one mają tylko bardzo podrzędne znaczenie.

W gmachu zbudowanym przez szkołę chemiczną pokarmy roślinne należą do innéj gruppy, dla któréj charakterystycznym pierwiastkiem jest węgiel, znany pierwiastek wszystkich naszych materyałów opałowych (drzewo, torf, węgiel kamienny i brunatny). Cały węgiel jakiego w piecach używamy, pochodzi także z królestwa roślinnego, jest to mianowicie drzewnik zwęglony albo w mniejszym albo większym stopniu. Do tego to właśnie drzewnika zupełnie podobna składem chemicznym jest mączka, podstawa naszych roślinnych pokarmów, nawet drzewnik przez pewne działania w mączkę przemienić można. Drzewnik nie trawi się wcale w przewodzie pokarmowym, albo tylko w niezmiernie małéj ilości, ale właśnie tak blizko pokrewna mu mączka gra według Liebiga tę samą rolę w organizmie, jaką drzewnik w piecach wypełnia—ogrzewa go. Jest to zestawienie niezmiernie ciekawe. Drzewnik i mączka składają się z węgla, wodoru i tlenu, z powodu składu chemicznego nazywają je wodanami węgla, do których zaliczają jeszcze cukier gronowy, mleczny i t. d. Bardzo zbliżone składem do cukrów są kwasy owocowe: jabłkowy, octowy, winny, cytrynowy. Do ciał ogrzewających należą jeszcze tłuszcze, również z węgla, wodoru i tlenu złożone, ale mniéj tlenu zawierające niż wodany węgla. Tu wreszcie należą czyste węglowodory, wyłącznie z węgla i wodoru złożone, służące jako gazy do oświetlenia.

Wodany węgla i węglowodory wydobywają się głównie z królestwa roślinnego; rzec można że pokarm roślinny w ogóle uważają, charakteryzuje się temi związkami, i dla tego wielu pokarmy zwierzęce nazywa azotowemi, pokarmy roślinne węglowemi; pierwsze uważają za źródło istot pożywnych, ostatnie za źródło ogrzewających. Cała nauka szkoły chemicznéj da się ująć w tę krótką i wygodną formułkę: azot odżywia, węgiel ogrzewa. *(d. c. n.)*

RODZINA GAMBETTÓW
W GDAŃSKU I WARSZAWIE.

Zupełne milczenie heraldyków naszych o rodzinie szlacheckiéj Gambettów w dawnéj Polsce osiadłéj, podaje nam pióro do ręki, abyśmy szczegóły o niéj, jakieśmy dotąd wynaleźli, na zasadzie Metryk, dla pożytku dziejowego skreślili.

Opieramy się na dwóch dowodach w księdze metrycznéj 294 na stronach 24 do 27 spisanych. Pierwszy jest oblatą plenipotencyi wielebnych pp. Sakramentek w Warszawie, pod dniem 27 Lutego roku 1777 udzielonéj panu le Maire, adwokatowi w parlamencie francuzkim, mieszkającemu w Paryżu przy klasztorze Sakramentek w ulicy Cassette na przedmieściu ś. Germana. Akt ten służył do windykacyi summy dukatów 9,980 przynależnéj klasztorowi warszawskiemu, po śmierci Maryi Anny Gambetta, wdowy po

Ennembergu komendancie miasta Gdańska, która po zgonie swego męża, osiadła w roku 1764 w Warszawie w zabudowaniach klasztornych pp. Sakramentek. Drugi dowód jest oblatą sepultury tejże damy, zmarłéj w Warszawie w tém bogobojném schronieniu dnia 20 Lutego r. 1777.

Obadwa te dokumenta były spisane na papierze stemplowym w języku francuzkim i podpisane przez zarządzające klasztorem warszawskim, a mianowicie: ksienię Maryę od ś. Benedykta, Maryę Anielską podprzeoryszę i pierwszą dyskretkę; nadto siostry klasztorne: Maryę od ś. Jana Chrzciciela dyskretkę, Maryę Anielską dyskretkę i sekretarkę kapituły, wreszcie Maryę od ś. Anny dyskretkę. Opatrzenie wreszcie tych dowodów pieczęcią klasztorną i umieszczenie ich w oblacie w Metrykach koronnych pod dniem 1 Marca roku 1777, nadaje im cechę najwiarogodniejszą.

Z tych dwóch dokumentów, następujące szczegóły dotyczące Maryi Anny Gambetta, jako osiadłéj w Polsce, przytaczamy. Dwukrotnie ona wchodziła w związki małżeńskie. Pierwszym jéj mężem był Piemontczyk Rex, obywatel naturalizowany we Francyi i handlujący na okrętach wielkich zwanych *galions*, któremi głównie sprowadzano z Ameryki produkta, a zwłaszcza z kopalni peruwiańskich i meksykańskich do Europy. Po śmierci Rexa, weszła w powtórne związki ślubne z Ennembergiem, kommendantem miasta Gdańska. Z pożycia ich ten tylko ślad pozostał, iż Ennemberg, jako pierwszy dygnitarz tak wielkiego miasta, zmuszony swojém stanowiskiem żyć nad skalę swego majątku, liczne po sobie pozostawił długi, tak dalece, iż po śmierci jego wszystkie dobra i ruchomości zabrali wierzyciele. Dla Maryi zaś Gambetta pozostał tylko jedyny fundusz do życia z nader szczupłéj renty dożywotniéj, jaką miał jéj wypłacić niejaki Rosenberg, a z któréj dla utrzymania swego wyższego stanowiska nie mogła się była nawet wyżywić.

W tak smutném położeniu Marya Gambetta przeniosła się z Gdańska do Warszawy, gdzie za wstawieniem się jednéj znakomitéj damy polskiéj wielce pobożnéj (jak w akcie wyrażono), przez samo politowanie nad rozpaczą Maryi i dla zbawienia jéj duszy, przyjęta została do zewnętrznych zabudowań kościoła i klasztoru pp. Sakramentek pod tytułem ś. Kazimierza w Warszawie dotąd istniejącego. Tam przebywając przez lat dwanaście i pół, zmarła we czwartek dnia 20 Lutego roku 1777, i po odbytem nabożeństwie przez kapłanów miejscowych, pochowaną została w pieczarach podziemnych tegoż kościoła.

W czasie dwunastoletniego przemieszkiwania w Warszawie, Marya Anna Gambetta zajmowała przy klasztorze apartament z czterech pokojów i kuchni, za które opłacała rocznie po dukatów 300. Z obrachunków wydatków na nią okazuje się, iż w wieku podeszłym dzień i noc kazała palić w piecach dla ogrzewania pokoi i siebie, a przy samym schyłku życia, w czasie ostatniéj choroby, utrzymywała dwie służące. W ogóle w ciągu całego swojego zamieszkiwania w Warszawie wydała dukatów 18,720.

Że była ze szlacheckiéj familii, dowodzą same powyższe oblaty umieszczone w Metrykach, w których spisujący akta nadaje jéj tytuł *Generosa*, co, jak wiemy, w księgach kanclerskich dawano tylko szlachcie rodowéj lub nobilitowanéj *praeciso scartabellatu*. Jakiegoby herbu używała ta familia w Polsce, dotąd nie mogliśmy wyśledzić. Wzywamy więc miłośników heraldyki, aby, jeżeli pewny ślad znajdą co do kształtu i nazwy téj ozdoby, raczyli podać do wiadomości powszechnéj.

Wreszcie co do spadkobierców i majątku, jaki po sobie Marya Gambetta pozostawiła, jest o tém kilka razy wzmianka, ale ogółowa w akcie samym plenipotencyi, iż we Francyi znajdowali się, i dla tego przełożone klasztoru pp. Sakramentek warszawskich, upoważniły adwokata le Maire w Paryżu do windykacyi swoich należytości.

Aleks. Wejnert.

PARTHENON.

Wspomnienie najświetniéjszéj doby życia Rzeczypospolitéj Ateńskiéj łączy się z chwilą budowania Parthenonu, świątyni poświęconéj ku czci Atheny (Minerwy), bogini opiekuńczéj jońskiéj metropolii. Były to czasy Peryklesa i Fidyasza, czasy potęgi zwycięzkich działań na zewnątrz, a świetnego rozwoju wewnętrznego, naukowego, społecznego i handlowego Attyki. Wzbogaceni szczęśliwemi wojnami perskiemi, jak dawniéj na pamiątkę Cymonowych zwycięztw wystawili świątyńkę mniejszą, tak teraz z gruzów perskiego najazdu umyślili Ateńczycy swéj bogini opiekuńczéj wznieść przybytek w którym by co pięć lat odbywające się wielkie na jéj cześć obchody całą Grecyę w murach i pod kolumnadą pomieścić mogły.

Perykles zarządził to odbudowanie jednéj z największych świątyń Starego i Nowego świata. 114 łokci długości a 50 łokci z górą szerokości zajmowała przestrzeń, na któréj jednym szeregiem z boków a dwoma u wnijścia i w zakończeniu zamykał się przybytek Pallady; wierzchołek szczytu wznosił się na 32 łokcie nad poziom trzeciego tarasowego stopnia podsłupowego, same słupy mają po 17 łokci wysokości a trzy łokcie średnicy, czyli prawie 9 łokci obwodu. Attyki czyli szczyty trójkątne napełnione były rzeźbionemi postaciami dłuta Fidyaszowego, przedstawiającemi wypadki z mythu o Athenie: na zewnątrz w metopach bitwa centaurów z olbrzymami, wewnątrz zaś na fryzie obchód uroczystości Panatenejskiéj w płaskorzeźbach były wyobrażone, w oddzielnéj zaś części wnętrza świątyni stał ów przesławny posąg Pallady z kości słoniowéj i złota Fidjaszowéj ręki. Jaki przepych zdobił tę świątynię, łatwo sobie wyobrazić, przypomniawszy iż tak zewnętrzne jak i wewnętrzne ozdobienia podnosiły w świetności i znaczeniu artystyczném pomalowania i złocenia. Budowniczowie świątyni Iktynus i Kallikrates zgodnie z Fidyaszem i pod jego ogólném kierownictwem złożyli się na to arcydzieło doryjskiego stylu, sterczące do dziś dnia ogromnemi złomami na szczycie Akropolu ateńskiego. Budowa Parthenonu ukończona r. 438 przed Nar. Chrystusa, trwała lat szesnaście. Dwa tysiące lat stał nietknięty zębem czasu ten pyszny budynek, w średnich wiekach obrócony ku czci Bogarodzicy, i dziwna rzecz, nie ręka barbarzyńskich panów Carogrodu przyłożyła się do jego zniszczenia, ale po dwakroć w dwuchsetletnim odstępie, bomby i młoty najucywilizowańszych w swoim czasie narodów. W wieku siedmnastym bomba Wenecyan z Turkami bój toczących pierwsza rozsadziła pośrodku gzemsy i dach Parthenonu, a w początku tego stulecia, lord Elghin pragnąc zbogacić Brytańskie Muzeum zabytkami sztuki greckiéj, żelaznemi drągami swych knechtów rozwalił attyki i fryzy Fidyaszowe tak, iż ledwie mała liczba ułomków pozostała na miejscu, na świadectwo przeciwko ucywilizowanym barbarzyńcom.

Podajemy tu w rycinach ogólny widok ruiny świątyni Atheny i odłam fryzu, o którego postaci i doskonałości artystycznéj dokładniejszego wyobrażenia miłośnicy sztuki nabyć mogą z ocznéj onego części znajdującéj się w odlewach gipsowych w Muzeum antyków w Warszawie, które zawdzięcza ten cenny nabytek staraniom teraźniejszego dyrektora honorowego Muzeów.

W. G.

Sprostowanie. W Numerze 33 na str. 308 w kolumnie 3-éj zamiast:

(Wyjmuj gałgany z kosza płótno, jedwab, wata).

Powinno być:

(Wyjmuje gałgany z kosza)

Płótno, jedwab, wata.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 11 (23) Апрѣля 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.